№ 7. Warszawa, dnia 13 (1) Lutego 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka*: Trudne zadania.—Z Austryi p. S.—Z Francyi p. P.—Tydzień polityczny. —*Powieść*: Samotność przez Guy de Maupassanta. Tłom. Kasylda K. — *Sprawy ekonomiczne*: J. Kirszrot-Prawnicki. Kredyt włościański p. J. L. P. — *Badania naukowe:* O kapitale II. p. Ad. J. Cohna. — Językoznawstwo. Trzy nowe słowniki: Biskup Adam Stanisław Krasiński dr. teol.; F. Miklosich; W. Vocadlo, p. Jana Karłowicza.— *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Nieborskiego. — Prasa rosyjska.—Proces polityczny według Prawitiel. Wiestnika). — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. —

Nabywców dzieł wydanych nakładem księgarni Bartoszewicza (tomów 15) zawiadamiamy, że dotąd nadesłano nam tylko 14, ostatni zaś (V Niemcewicza) ma wyjść za kilka tygodni.

Ekonomia polityczna, dołączona zeszytami w bezpłatnym dodatku do *Prawdy*, w osobnem odbiciu kosztuje rs. 3.

POLITYKA.

TRUDNE ZADANIA.

Anglia przeszła znowu pod kierownictwo człowieka, który już dwukrotnie nią rządził, który jeszcze w roku zeszłym topił ją w odmęcie sprzecznych i chwiejnych dążeń, który pomimo to wszystko uważany jest za jedynie zdolnego do rozcięcia jej węzłów — wewnętrznych. Wykazywaliśmy już dawniej, że w tej nadziei tkwi dużo złudzenia i że Gladstone, sędziwy starzec z odległej epoki, który wielu prądów obecnej już nie rozumie, nadto marzyciel dosyć osobliwego nabożeństwa, musi ciągle rozczarowywać swych wielbicieli, oczekujących od niego polityki energicznej, t. z. dziś realnej. Obejmuje on po raz trzeci ster państwa w warunkach ciężkich, waga zaś tej ciężkości jeszcze bardziej pada na sprawy wewnętrzne, niż na zewnętrzne. Irlandya prowadzona przez ludzi śmiałych i zręcznych, domaga się ulg, równouprawnienia, wreszcie niepodległości, a jej naporu Anglia nie może ani stłumić praktycznie, ani zniesławić teoretycznie; rozumie ona, że krzywdzonej sąsiadce trzeba *coś* powrócić. To *coś* jest jeszcze dotąd wcale nieokreślonem, ma przecież trzy stopnie: najwyższy w przekonaniu Parnella, najniższy u Salisburego, a średni u Gladstone'a. Podczas targu z irlandczykami, którzy nadają większość każdemu ze stronnictw w Izbie niższej, chwilowo konserwatyści przelicytowali liberałów; zaraz wszakże ci ostatni postąpili wyżej i objęli rządy. Teraz trzeba obietnice spełnić. W jakiej mierze spełni je Gladstone? Czy odpowie żądaniom Parnella? Odpowiedź na te pytania, zależy nietylko od wodza, ale i od jego armii.

Jak wiadomo, liberałowie angielscy (whigowie) byli zaledwie odcieniem barwy konserwatystów (torysów), tak słabym, że dla oczu niewprawnych i oddalonych niknęły zupełnie między nimi różnice. Radykalizm, który wcisnął się nawet w pory twardej lewicy angielskiej, nadał jej w ostatnich czasach nieco czerwieńszy kolor i wyparł z niej zachowawców maskowanych. Tym sposobem jest to dziś stronnictwo skłonniejsze do robienia wyłomów w „starej dobrej tradycyi," a nadto do popchnięcia swego przewodnika w kierunku postępowym. Można więc być pewnym, że Gladstone w trzecim okresie swych rządów nie jest Gladstonem z pierwszej fazy. Całkiem Parnellowi nie dogodzi — tego nikt nie spodziewa się ani po obecnej chwili, ani po obecnym rządzy Anglii — ale że dla Irlandyi wybiła godzina szczęśliwa — nie ulega wątpliwości.

Dowiemy się o tem niedługo.

Obok wszakże różnic w żądaniach, zachodzi między przewodnikiem Anglii i Irlandyi niezgoda w sposobie przeprowadzenia reform. Reformy te dotyczą dwu stron życia: politycznej i ekonomicznej. Irlandya wymaga 1) osobnego parlamentu, gabinetu ministeryalnego itd. — słowem samorządu i 2) zmiany stosunków rolnych, czyli — mówiąc znanym nam wyrazem—uwłaszczenia chłopów i dzierżawców. Otóż anglicy chcieliby *naprzód* wprowadzić uwłaszczenie. Pierwszeństwo tego aktu ma dla nich szczególną wartość, bo służy za podstawę prostej i mądrej rachuby. Ludność rolna, otrzymawszy ziemię, byłaby zjednaną i pozwoliłaby się przeciwstawiać klasom wyższym w przeróbce politycznej. Parnell widzi dobrze ten zamiar i niebezpieczeństwo rozdwojenia narodowego, żąda więc *naprzód* reformy politycznej, a *potem* ekonomicznej. Gdy wszyscy otrzymają swoje prawa, przyjdzie kolej na niektórych, najbardziej skrzywdzonych.

Niepodobna temu poglądowi odmówić słuszności, ale zarazem łatwo dostrzedz, że on, w połączeniu ze znaczną różnicą stopnia irlandzkich żądań i angielskich ustępstw, stanowi bardzo trudne zadanie dla człowieka, potrzebującego je rozwiązać. Pomyślne rozstrzygnięcie tej sprawy nagrodziłoby Gladstone'a niespożytą chwałą, ale wszelką fuszerkę lub niezręczność opłaci on stratą, której już — ze względu na swój wiek — nigdy nie odzyska. *Hic Rhodus — hic salta* — stary whig postanowił skoczyć — oby szczęśliwie!

Gdyby przynajmniej w tym skoku nie trzymała go za poły polityka zewnętrzna! Zawierucha bałkańska, która pomimo układów, not i gróźb dyplomatycznych nie ustaje, dmie śnieżycą i w oczy Anglii. Sama sprawa jest bardzo zwichrzoną—a nadto Gladstone nie miał w niej nigdy jasnego, konsekwentnego programu, lecz strugał plany z dnia na dzień. Wiadomo tylko, że woli on Rosyę, niż Austryę i Niemcy, że gardzi Turcyą a sympatyzuje z ludami Półwyspu. Ale te wszystkie sympatye są bardzo, bardzo wątłe i jako nici do tkaniny politycznej niezdatne. Wogóle bowiem wprowadzać uczucia sentymentalne do gry, w której stawkami są samolubne interesy — ryzyko bardzo zawodne.

Nie dziwimy się też wcale, że Gladstone siedzi dotąd w obłokach i na ziemię nie

schodzi. Nie słyszymy jeszcze, co zamierza dać Irlandyi, jakie stanowisko zająć wobec zbuntowanej Grecyi, upokorzonej Serbii, zwycięskiej Bułgaryi, bezradnej i bezwładnej Turcyi. Obsiadły go naokoło pytajniki dziennikarskie, czekając na odpowiedzi, a on łamie sobie starą głowę nad trudnemi zadaniami chwili. Ale wreszcie musi przemówić — i to nie zadługo, bo logika wypadków na ich następstwa cierpliwą nie będzie.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 6 lutego.

Bismark wstrząsnął Austryą. — Nieco o polityce generała od huzarów. — *Quid nunc* Koła polskiego. — *Deutschthum und deutsches Reich* Ottona Hausnera —Gotowy program. — Rezolucya „Klubu niemieckiego.“— Bezpośredni jej skutek. — Reformy społeczno-ekonomiczne. — Ich zrównoważenie. — „Bal polski.“—Nasi miejscowi konserwatyści i ich „patryotyczna“ działalność.

Bismark, Bismark i Bismark bez końca! Oto patron chwili, który porusza i w Austryi wszystkie umysły i oddziaływa wszechpotężnie na tutejsze stosunki państwowe. Zawisłość Austryi od Niemiec dopiero teraz występuje plastycznie, a zgubność polityki austryackiej, szukającej zbawienia w sojuszu z Niemcami, wychodzi jak oliwa na wierzch wody. Kaprys, zły humor lub gniew kanclerza niemieckiego wystarcza, ażeby wstrząsać organizmem wewnętrznego ustroju monarchii habsburskiej i nabawiać trwożliwością najwyższe koła rządowe w Kapui naddunajskiej. To też i „dramat polski,“ odgrywający się z końcem stycznia w sejmie pruskim, odbił się potężnie na Austryi, sprawiając ogólne zamieszanie i trwogę. „Granitowa“ podstawa sojuszu austro-niemieckiego zaczęła w wyobraźni opinii publicznej tańczyć, uginać, łamać się. Ton prasy półurzędowej okazuje jasno, jakie wrażenie sprawiły mowy Bismarka na rząd wiedeński. Organ przyboczny hr. Kalnoky'ego *Fremdenblatt*, poszedł nawet tak daleko, że nominacyę księdza Dindera na arcybiskupa gnieznieńskiego nazwał ze względu na jego narodowość niemiecką — „objawem bardzo pocieszającym,“ dając zarazem surowe upomnienie „pruskim polakom, żeby głów swoich niezaprzątywali „mrzonkami.“

Po za tem jednak służebnem uginaniem i korzeniem się przed majestatem potęgi kryje się obawa, że dotychczasowe stosunki przyjazne pomiędzy obu państwami uległy przecież pewnej zmianie, i co najważniejsza, że ona może być poczytaną za zwiastuna daleko gorszych następstw. Ile jednak warta polityka, która boi się swego własnego cienia i jest nieobliczalną na najbliższą przyszłość, nad tem, zdaje się byłoby zbytecznem rozmyślać dłużej.

Nie o to nam też chodzi. Dla nas ma na razie największe interesu stanowisko, jakie Koło polskie zajmie w przyszłości wobec polityki hr. Kalnoky'ego. Dotyczas działo się tak, że polacy, jak i inne narody słowiańskie w Austryi, byli karyatydami sojuszu austro-niemieckiego i wszelkich jego wstrętnych następstw. Szło to tak daleko, że pomimo wydalań pruskich, pomimo wywołania bratobójczej wojny pomiędzy serbami i bułgarami austryacki minister spraw zagranicznych otrzymał wotum ufności zarówno ze strony polskiej, jakoteż i czeskiej, chociaż p. Czerkawski wyraził mu w imieniu Koła polskiego niezadowolenie z powodu jego odpowiedzi na interpelacyę w sprawie wydalań, a dr. Rieger znowu w imieniu swoich przyjaciół politycznych zganił surowo kierunek austryackiej polityki wschodniej. Taka jednak opozycya, kończąca się brawem, jest właściwie grą w ślepą babkę. Zachodzi atoli pytanie: czyli wobec wystąpienia Bismarka w sejmie pruskim, wolno polakom w szczególności bez narażenia się na szwank ciągnąć dalej tę ciuciubabkę. W sprawie podobnej muszą zniknąć wszelkie inne względy, choćiażby one na pozór wydawały się racyonalnymi. Koło polskie zaś ma gotowy program, ogłoszony jeszcze w r. 1880 przez Ottona Hausnera w znakomitem piśmie politycznem, noszącem tytuł: *Deutschthum und deutsches Reich.* Swojego czasu zrobiła praca ta dużo wrzawy nietylko w Austryi, lecz i po za jej granicami. Dziś program Hausnera, po części zapomniany, nabiera znowu wagi. Sądzimy, że nie będzie bez interesu przypomnieć, chociażby kilka urywkowych z niego ustępów.

Stosunek Niemiec do Rosyi zowie on „dwulicowym“ i „sprzecznym,“ co albo jest fortelem, ażeby tym sposobem wpłynąć na dawnego swego sprzymierzeńca i zniewolić do wejścia w przymierze trójcesarskie, skierowane przeciwko Francyi; albo też jest sprawą groźniejszą. Autor przedstawia plan, jaki dojrzewa w głowie Bismarka. Wojna duńska była prologiem dramatu dziejowego. Nastąpił pierwszy akt austryacki, potem drugi francuski. W trzecim rosyjskim mogłoby chodzić o pozyskanie dla Niemiec prowincyj nadbałtyckich i o wypełnienie niewygodnego załomu pomiędzy wschodniemi Prusami a Szlązkiem przez oznaczenie granicy wzdłuż biegu Wisły, poczem po przyłączeniu Holandyi i Danii z potrojoną marynarką wojenną możnaby z blizkiego wybrzeża morskiego dostać się w czwartym akcie i do Anglii, dotąd nieprzystępnej i urzeczywistnić — *the battle of Dorking.*

Przymierze niemiecko-austryackie przedstawia mu się bardzo ujemnie. Powiada on, że gdyby Rosya zmuszona okolicznościami weszła do odnowionego, przeciwko zachodowi i południowi skierowanego związku trójcesarskiego, to nad Austryą zawisnie z łaski Niemiec solidarność spraw politycznych, społecznych i ekonomicznych z dwuletnimi budżetami, z niemieckiemi regulaminami kagańcowymi, zniemieckiemi prawami wyjątkowemi, z systemem protekcyjnym co do ceł, z przymusami cechowymi i *Gebundenheit des Besitzes* itp. Przymierze to uważa on jednem słowem jako szkodliwe i niebezpieczne dla państwa austryackiego z jednej, zaś dla rozwoju narodowości z drugiej strony i przychodzi ostatecznie do wniosku, że Austrya powinna szukać przymierza z Francyą i wogóle z Zachodem.

Nie miejsce, ażebyśmy mogli chociażby nader pobieżnie naszkicować świetne i przekonywające uzasadnienie powyższego twierdzenia, ale z tych kilku słów przytoczonych występuje w całej pełni bystrość poglądów autora i trafność nadzwyczajna jego sądu. Z przepowiedni jego wyrzeczonych przed sześciu laty, spełniło się już nie mało. Widać z tego najlepiej, jak prawdziwie ocenił położenie i jak słuszne powyciągał wnioski z przymierzy, zawiązywanych przez kanclerza niemieckiego.

Ale czy Koło polskie pójdzie tylko w kierunku, wskazanym przez Hausnera? czy fałszywe pojmowanie stosunków wewnętrznych, nie zwichnie jego zapędu? Dotychczas zupełna cisza panuje pomiędzy przedstawicielstwem parlamentarnem Galicyi. Z początku mówiono coś o wniesieniu interpelacyi, teraz i o tem ucichło zupełnie. Zdaje się, że na razie zadowolni się Koło polskie odegraniem biernej roli.

POWIEŚĆ.

SAMOTNOŚĆ

przez

Guy de Maupassanta.

Było to po bardzo wesołym, męskim obiedzie. Jeden z pomiędzy zebranych towarzyszy, mój dawny przyjaciel, rzekł do mnie:

— Czy chcesz się przejść ku Polom Elizejskim?

I poszliśmy, idąc zwolna po pod drzewami, zaledwie okrytemi liściem. Oprócz przytłumionego a nieustannego odgłosu, jaki cechuje wielkie miasto, panowała cisza zupełna. Chłodny powiew wiatru muskał nas po twarzy, a miliony rozsianych gwiazd srebrzyły ciemne sklepienie niebios.

— Nie wiem dlaczego—rzekł mój towarzysz, tutaj—w nocy oddycham nierównie lżej, niż kiedyindziej. Zdaje mi się, że moja myśl rozszerza się i nabiera polotu. Chwilami jakaś błyskawiczna jasność przenika mój umysł i przez jedno mgnienie oka sądzę, że mógłbym odkryć cudowną tajemnicę porządku rzeczy. Potem, okno się zamyka i na tem koniec.

Tak rozmawiając, widzieliśmy od czasu do czasu przesuwające się wzdłuż alei dwa cienie, a przechodząc koło jednej ławki, dostrzegliśmy dwoje ludzi, siedzących tak blisko siebie, że ich postacie połączone tworzyły jakby jedną wielką, czarną plamę.

Mój towarzysz, patrząc na nich, rzekł:

— Biedni ludzie! Budzą we mnie nie niesmak, ale bezmierną litość. Z pomiędzy wszystkich tajemnic życia ludzkiego, jedną udało mi się przeniknąć: największe udręczenia nasze pochodzą stąd, że jesteśmy wszyscy sami, i wszystkie nasze usiłowania, wszystkie nasze czyny skierowane są do tego tylko, żeby uniknąć tej samotności. Tamci naprzykład, zakochani, siedząc na ławce, na świeżem powietrzu, usiłują, tak jak my, jak wszyscy na świecie, wyrwać się choćby przez chwilę osamotnieniu; nie mniej wszakże, tak jak my, są i pozostaną, sami. Cała różnica polega na tem, że jedni mniej, drudzy więcej to czują.

Od pewego czasu, to jest od chwili, kiedy zrozumiałem, kiedy odkryłem straszną samotność, na jaką jestem skazany, znoszę męki piekielne, bo wiem, że jej nic, ale to nic, czy słyszysz, nic usunąć nie może! Cokolwiekbyśmy przedsiębrali, cokolwiekbyśmy czynili, jakiekolwiek byłyby porywy naszych serc, upojenia w płomiennych pocałunkach naszych ust, uściski naszych objęć, jesteśmy zawsze sami!

Wyciągnąłem cię dziś wieczorem na ten spacer, ażebym nie wracał sam, bo teraz cierpię okropnie w samotności mego mieszkania. I na cóż mi się to przyda? Mówię do ciebie, ty mnie słuchasz, jesteśmy tuż przy sobie, a jednak każdy z nas jest sam. Czy mnie rozumiesz?

Szczęśliwi ubodzy duchem, powiada pismo. Mają przynajmniej złudzenie szczęścia. Oni jedni nie czują naszej opłakanej samotności, nie błądzą tak, jak ja, po przez życie, bez innego zetknięcia prócz potrącenia łokciami, bez innej radości prócz samolubnego zadowolenia, że rozumiem, widzę, odgaduję i nieskończenie cierpię przeświadczeniem o naszej wiecznej samotności.

Wydaję ci się cokolwiek szalonym, nieprawdaż?

Posłuchaj mię. Od chwili kiedy poczułem osamotnienie całej mojej istoty, zdaje mi się, że zapadam w jakieś ciemne podziemie, którego nie widzę brzegów, nie znam końca, a które może, może nie ma kresu! Zanurzam się w nie, nie mając nikogo z sobą, nikogo wokoło siebie, nikogo z żywych istot, idących tą samą ponurą

Całkiem inaczej postąpił sobie „klub niemiecki“ austryackiej Izby poselskiej, uchwalając podziękowanie i uznanie kanclerzowi niemieckiemu za jego wystąpienie w „dramacie polskim“. Zrazu projektował ten klub nawet wysłanie adresu do Bismarka, ale odstąpiono od tego zamiaru, z powodu ogromnego krzyku, jaki z tej przyczyny powstał w klubie niemiecko-austryackim i prawie w całej prasie austryackiej.

Dla nas ma postępowanie klubu niemieckiego tę dobrą stronę, że widzimy jasno i niedwuznacznie, czego możemy się spodziewać po sojuszu z Niemcami, o czem niektóre puste głowy polityków galicyjskich nie przestawały myśleć.

Z drugiej strony krok ten skrajnych narodowców niemieckich jest nauką dla Austryi, dokąd ją pielęgnowanie niemczyzny musi doprowadzić ostatecznie, skoro już obecnie niemiecki odłam parlamentu za plecami rzadu i państwa w taki sposób nawiązuje stosunki z ościennem mocarstwem.

W praktyce zaś pociągnęła uchwała klubu niemieckiego takie następstwo, że solidarność opozycyi niemieckiej przeszła do... historyi, albowiem klub niemiecko-austryacki oświadczył, że „nie może“ i nie chce przyjmować na siebie odpowiedzialności za krok, który „legalność niemców austryackich stawia w tak fałszywem świetle“. Zerwanie łączności pomiędzy dwoma klubami (niemieckim i niemiecko-austryackim) opozycyjnymi nie może z pewnością przyczynić się do wzmocnienia stanowiska niemczyzny w Austryi.

Pora parlamentarna mdło się rozpoczęła. Posiedzenia Izby odbywają się dwa razy w tygodniu. Rząd wniósł pod obrady kilka ważnych przedstawień, odnoszących się do reform społeczno-ekonomicznych. Pomiędzy niemi należy pierwsze miejsce ustawie o ubezpieczeniu robotników od uszkodzeń i słabości. Do wytworzenia funduszu przyczyniają się przymusowo fabrykanci i robotnicy w ten sposób, że pierwsi płacą 90%, ostatni 10% do wspólnej kasy. Wielką wadą ustawy jest, że prawie zgoła nie obejmuje robotników rolnych i rękodzielników małego przemysłu, z drugiej strony przyznaje rządowi „prawo miecza“ nad całą instytucyą, pozostawiając mu rozstrzyganie we wszystkich niemal kwestyach. Stylizacya ustawy pozostawia, co do jasności, także bardzo wiele do życzenia. Zawiłość jej zdaje się być umyślną dlatego, ażeby niewyraźne brzmienie szczegółowych jej postanowień jeszcze więcej rozszerzało zakres działania rządu-rozjemcy. Państwo ze swej strony nie przyczynia się materyalnie w niczem do ubezpieczenia.

Jakby dla zrównoważenia doniosłości wymienionej ustawy znajduje się pomiędzy projektami rządowymi wyjątkowa ustawa przeciw socyalistom, ograniczająca wolność prasy, zgromadzeń, stowarzyszeń, tak właśnie, jak Hausner w piśmie swem przepowiedział. Do tych ustaw wrócimy innym razem.

Pomimo wcale niewesołego położenia, karnawał domaga się swych praw i od nas. Wytańczywszy się na tak zwanych „wieczorach mazurowych“, musimy pląsać jeszcze na „balu polskim“, którym miejscowe „powagi narodowe“ nas obdarzają corocznie. Dotychczas przeznaczano czysty dochód z balu na tutejsze polskie stowarzyszenia. W tym roku ma być inaczej. Komitet zamierza oddać połowę dochodu na wygnańców pruskich.

Kiedy już mowa o „Zgodzie“, trzeba dodać, że złość naszych „konserwatystów“ przeciwko temu stowarzyszeniu potęguje się coraz więcej i obecnie przeszła w stadyum „szlachetnej denuncyacyi“, o tyle przynajmniej, że wielcy polscy patryoci miejscowego obozu zachowawczego szerzą okropne wieści o braku poszanowania „tradycyj“, braku ducha religijnego w „Zgodzie“. Naturalnie chodzi o szkodzenie stowarzyszeniu, którego działalność, jako ogniska narodowego, skupiającego przeważnie młodzież rękodzielniczą, jest wielce pożyteczną, pożyteczniejszą, aniżeli całe na efekt tylko obliczone krzątanie się rzekomych wielkich ludzi. Smutny to zaiste objaw, bo świadczący, że nędzna prywata, osobistości, podrażnione dumy zawsze nie mogą się wśród nas podporządkować sprawie ogólnej; że wichrzenia i warcholstwa, mechaniczne powtarzanie pustych frazesów zawsze są górą; że właśnie u tych, którzy czują w sobie powołanie do przodowania, brak najelementarniejszych pojęć o potrzebie karności w pracy, brak miłości i wyrozumienia, a natomiast zbytek egoizmu i pyszałkowstwa, posuniętego często do karykaturalnych granic. Kto zna miejscowe stosunki i jest sprawiedliwym, musi przyznać, że „Zgoda“ jest wzorowem stowarzyszeniem polskiem. Ma bibliotekę, czytelnię, czasopisma; daje swym członkom zapomogi pieniężne; dba o ich wykształcenie ogólne i fachowe przez urządzanie odczytów, naukę śpiewu, zapisywanie członków do wzorowych szkół przemysłowych itp. itp., a łącząc użyteczne z przyjemnem, urządza także mniejsze i większe zabawy. Zamiast więc popierania tak użytecznego stowarzyszenia, stawiają mu nasi konserwatyści na każdym kroku przeszkody. I to śmie się zwać patryotyzmem!

S.

Z FRANCYI.

Paryż 30 stycznia.

„Protektorat cywilny“ w Anamie i Tonkinie i rezydentura p. Pawła Berta. — Projekty reform społecznych ministra handlu i przemysłu, p. Lockroy.— Projekt wódczanego monopolu we Francyi i w Niemczech. — Dążenie do „unarodowiania“ sił produkcyjnych i działalność jednostkowa.

Sprawa tonkińska może się wreszcie uważać za załatwioną. W dzienniku urzędowym pojawił się właśnie dekret, organizujący ostatecznie nowy zabór francuski w dalekich Indo-Chinach. Przyznać należy, że radykalny gabinet p. Freycineta dość radykalnie zerwał z dotychczasową militarno-biurokracyjną rutyną w polityce kolonialnej i nakreślił plan urządzenia Tonkinu i Anamu bardziej zgodny z charakterem Rzeczypospolitej. Zabór nosić będzie łagodne miano „cywilnego protektoratu,“ pozostającego pod naczelnem kierownictwem „generalnego rezydenta,“ obdarzonego rozległem pełnomocnictwem. Rezydent odpowiedzialny jest jedynie przed radą ministrów, zależą zaś od niego bezwzględnie wszystkie władze cywilne i wojskowe na miejscu. Respublika nie chce rządzić w Tonkinie jak w kraju podbitym, pozostawia więc ziemiom nad Czerwoną rzeką własną autonomię, własnego króla, miejscowe urządzenia i zwyczaje. Rezydent mieć będzie przy boku swym radę złożoną w części z krajowców. Francya chce zatrzymać tylko w Tonkinie załogę wojskową wraz z niewielką liczbą urzędników cywilnych. Kolonia posiada własny budżet, zasilany przez metropolię, o ile się okaże potrzeba; rezydent zresztą szczepić winien na tym chińsko-tonkińskim gruncie republikańską cywilizacyę. Francya obiecuje sobie ciągnąć zyski z celi stosunków przemysłowo - handlowych. Dotychczas nie robiła sobie tyle zachodu ze swemi koloniami. Generałowie rządzący dotąd wszechwładnie w Tonkinie pragnęli zrobić z niego drugi Algier, tj. szkołę tre-

---

drogą. Owo podziemie — to życie. Czasami słyszę hałas, głosy, krzyki... zbliżam się ku nim po omacku. Ale nie wiem nigdy na prawdę, skąd one pochodzą; nie spotykam nigdy nikogo, nigdy drugiej ręki, wśród otaczających mię ciemności. Czy mię rozumiesz?

Niektórzy ludzie odgadywali czasem to straszne cierpienie.

Musset zawołał:

— „Kto tam?... Kto mnie wzywa?...

— Nikt! — zegar się odzywa.

— O samotności!... niedola!..“

Ale u niego było to tylko chwilowe zwątpienie, a nie taka jak u mnie zabójcza pewność. Był poetą; wypełniał życie widziadłami, marzeniami, nie był więc nigdy zupełnie sam. Ja, sam jestem!

Gustaw Flaubert, jeden z najnieszczęśliwszych tego świata, bo jeden z najjaśniejszych umysłów, czyż nie napisał do swej przyjaciółki tych rozpaczliwych wyrazów: „Wszyscy żyjemy jak na pustyni. Nikt nie rozumie nikogo.“

Nie, nikt nie rozumie nikogo, cokolwiekby się o tem myślało, mówiło i cokolwiekby się robiło. Czy ziemia wie, co się dzieje wśród tych gwiazd, jak ziarnka ognisk rzuconych w przestrzeń tak daleko, że dostrzegamy blask zaledwie niektórych, kiedy niezliczone szeregi innych giną w nieskończoności, gdzie może tak są siebie bliskie, że tworzą całość, jak atomy, łącząc się, tworzą ciało?

Otóż tak samo człowiek, nie wie, co się dzieje w innym człowieku. My jesteśmy bardziej oddaleni jeden od drugiego, niż te gwiazdy, nadewszystko bardziej odosobnieni, bo myśl jest niezgłębiona.

Czy znasz co okropniejszego, jak to ciągłe obcowanie z istotami, których nie możesz przeniknąć! Kochamy jedni drugich, jak gdybyśmy byli tuż przy sobie przykuci z wyciągniętemi ramionami, a nie mogli się zbliżyć. Pragnienie połączenia dręczy nas, lecz wszystkie nasze usiłowania są bezowocne, nasze uczucia bezpożyteczne, nasze zwierzania bezskuteczne, nasze uściski bezsilne, nasze pieszczoty daremne. Kiedy chcemy zlać się w jedność, zaledwie się o siebie potrącamy.

Nigdy nie czuję się tak samotnym, jak w chwili, gdy otwieram serce jakiemu przyjacielowi, bo wtedy najlepiej rozumiem nieprzebytą zaporę, jaka nas rozdziela. Ten człowiek stoi przedemną, widzę jego jasne oczy, zwrócone na mnie, ale co się dzieje po za temi oczami, w jego duszy, ja nie wiem. Słucha mię, ale co myśli? Tak, co myśli? Czy ty rozumiesz to udręczenie? Może mnie nienawidzi? Może mną gardzi, lub może drwi ze mnie? Rozbiera to, co mówię, sądzi mię, śmieje się ze mnie, potępia, uważa za miernotę lub głupca. Jakżeż tu wiedzieć, co on myśli? Jak wiedzieć, czy mnie kocha, tak jak ja jego kocham? Jak wiedzieć, co się tam dzieje w tej małej, okrągłej głowie? Jakaż to tajemnica ta myśl w żywej istocie, myśl ukryta i wolna, której nie możemy ani zbadać, ani nią kierować, ani ujarzmić, ani zwyciężyć!

A i ja, żebym nie wiem jak, chciał się zwierzyć w zupełności, odsłonić wszystkie kryjówki mego ducha, nigdy tego nie zdołam uczynić. Zachowuję w głębi, w najgłębszej głębi tajemniczy kącik mego *ja*, którego nikt odkryć, ani się doń dostać nie może, bo nikt nie jest do mnie podobny, bo nikt nie rozumie nikogo.

Czy przynajmniej ty w tej chwili rozumiesz mnie? Nie, uważasz mnie za szaleńca, badasz, nawet się cokolwiek boisz! Pytasz siebie: „co mu się dziś stało?“ Jeśli wszakże kiedykolwiek zdołasz pochwycić i odgadnąć to subtelne, a tak dotkliwe cierpienie, jakie znoszę, przyjdź i powiedz mi tylko: *Zrozumiałem cię!* a może choć na sekundę uczynisz mnie szczęśliwym.

Najdotkliwiej wszakże dają mi uczuć samotność kobiety.

Niestety! jakże bardzo przez nie cierpiałem, bo one częściej niż mężczyźni dawały mi złudzenie, że nie jestem sam!

sowania żołnierzy i zaprawiania ich do polowań na ludzką zwierzynę. Wdarłszy się do cudzego kraju, posiadającego liczną ludność i własną starą cywilizacyę, usiłowali go cywilizować iście po barbarzyńsku. Wojskowi naczelnicy wyprawy starali się przedewszystkiem tak postępować, ażeby ciągły stan oblężenia uważano za niezbędny. Gdy więc brakło rozbójników morskich i powstańców, napadali spokojną ludność, tępiąc ją bez litości. Moglibyśmy cytować fakta. Mało brakowało, ażeby kraj cywilizowany nie stał się pustynią. Bohaterskie te wysilenia miały na celu wzbogacenie pewnej liczby spekulantów i otworzenie dróg zbytu dla „nadmiaru" produkcyi francuskiej!

Na szczęście wyzysk ten przybrać ma formę bardziej ludzką. Zrobiono także szczęśliwy wybór, mianując generalnym rezydentem znanego posła, lekarza i fizyologa p. Pawła Berta, który dawno już zajmował się sprawą kolonizacyi. Udaje on się w daleką podróż ożywiony najlepszemi chęciami, pragnąc gorąco zastosować na gruncie swe plany. Szkoda tylko, iż postarano się już przedtem zasiać w Tonkinie całe łany nienawiści i krzywd niepowetowanych; na polach zaś takich z trudnością wyrastają oliwne gałązki pokoju.

Jeden z członków obecnego gabinetu i skrajnej lewicy, redaktor naczelny *Rappela*, p. Edward Lockroy postawił sobie za cel dzieło uspokojenia i stopniowego rozwoju. Objąwszy tekę handlu, postarał się, żeby do jego ministeryum przyłączono także sprawy przemysłowe, nosi więc nazwę „ministra handlu i przemysłu." Poseł który przy ostatnich wyborach przeszedł na czele listy Paryża, przedsięwziął rozwiązanie sprawy robotniczej w drodze pokojowej. Sam uważa siebie za socyalistę *sans phrase* i stara się działać w porozumieniu z umiarkowanymi przywódcami ruchu robotniczego. Niedawno spowiadał się przed jednym z reporterów z planów swoich w tym względzie. Pragnie on przedewszystkiem uczynić syndykaty zawodowe, uprawnione we Francyi dopiero w r. 1884, rzeczywistymi organami wyzwolenia klasy pracującej, jak angielskie *Trades-Unions*. Starać się będzie dalej o podniesienie wykształcenia zawodowego przez zakładanie szkół rysunkowych, muzeów przemysłowych i handlowych; ma zamiar popierać tworzenie stowarzyszeń w różnych kierunkach i pracuje nad projektem zorganizowania na skalę rozległą kredytu ludowego, porozumiewając się w tej sprawie ze znanym założycielem włoskich banków ludowych, Luzattim. Fundusze rezerwowe kas oszczędności mają posłużyć za kapitał zakładowy. Kredyt ludowy bardzo jest we Francyi potrzebny; szczególnym zbiegiem okoliczności nie rozwinął się dotąd zupełnie. Tak liczne — np. w Niemczech a nawet w Galicyi i Poznańskiem towarzystwa zaliczkowe na wzajemności oparte, we Francyi nie istnieją zupełnie. Lockroy zajmować się przytem będzie osobiście doprowadzeniem do skutku wielkiej wystawy powszechnej, zapowiedzianej w Paryżu na rok 1889. Usiłowania jego nie pozostaną zapewne bezowocnemi. We Francyi, nawet w klasie robotniczej istnieje silne stosunkowo stronnictwo, dążące do rozwiązania kwestyi w myśl planów p. „ministra pracy." Idea stowarzyszeń i związków, nieopartych jedynie na pomocy wzajemnej, lecz popieranych skutecznie przez państwo, liczy tu wielu zwolenników. Jeden z poprzednich ministrów spraw wewnętrznych, członek oportunistycznego gabinetu, p. Waldeck-Rousseau rozwijał dość żywą w tym kierunku działalność. Za jego pobudką powstała osobna komisya, która wiele zebrała i ogłosiła cennego materyału w tym przedmiocie.

Sprawa wódczanego monopolu, będąca obecnie na porządku dziennym w Niemczech, Belgii, Bawaryi zaczyna zyskiwać zwolenników i we Francyi. P. Alglave, profesor Szkoły prawa w Paryżu wystąpił przed laty już kilku z projektem, podniesionym dziś na nowo przez samego autora, w którym zaleca zmonopolizowanie przez państwo sprzedaży alkoholu. Według jego obliczeń Francya miałaby z tego źródła 1.200 milionów franków, gdy dziś ma tylko 250. Cena przytem wódek w sprzedaży częściowej nie podniosłaby się wcale, straciliby tylko producenci a przedewszystkiem handlujący. Rząd zapobiegłby nadto licznym podrabianiom, zatruwającym dziś spożywców. Pomysł ten, ujęty w projekt do prawa, będzie podobno wniesiony do Izby. We Francyi monopol ten nie jest nowością, istnieje tu bowiem już oddawna monopol tytoniowy (przynoszący państwu rocznie 300 milionów fr.), o który kanclerz niemiecki dobijał się bezskutecznie. Projektodawca francuski obiecuje złote góry. Przybywa blisko miliard państwowego dochodu, kwota bardzo pokaźna! Można będzie ją wydać na cele użyteczności publicznej, poznosić lub zmniejszyć podatki pośrednie, uwolnić od podatku wino i piwo, pozaprowadzać reformy fiskalne etc. Nic dziwnego, że pomysł ten podobał się niezmiernie niemieckiemu kanclerzowi, który spodziewa się wyciągnąć z niego na pożytek i chwałę wielkiej ojczyzny niemieckiej 1,920 milionów franków! Byłoby za co wykupić ową polską większą własność ziemską. Chodzi przecież tylko o 100 milionów talarów, kwotę drobną w porównaniu z tą, jaką rozporządzać może rząd związkowy po zaprowadzeniu monopolu wódczanego! Piszemy to nie na żarty; rzeczą bowiem staje się widoczną, że wchodzimy w okres wielkich monopolów państwowych i stajemy w obec zadań wewnętrznej polityki ekonomicznej, które niedawno jeszcze uważano za niepodobne do urzeczywistnienia. Sądzimy, że nic dziś nie powstrzyma potężnego ruchu ku „upaństwowieniu" niektórych wielkich gałęzi produkcyi. Anglia np. stoi wobec sprawy „unarodowienia" ziemi i żywy dziś w Zjednoczonych krolestwach ruch rolny niewątpliwie do tego prowadzi. Projektowana obecnie przez Chamberlaina „municypalizacya" gruntów jest tylko krokiem wstępnym na tej drodze. „Landlordowie" angielscy są dziś tylko rentierami, nie prowadzącymi gospodarstwa na własną rękę; pozostaje więc właściwie do zrobienia to, co zrobiono u nas przy uwłaszczeniu: państwo wykupić ma czynsz dzierżawny i samo podstawić się na miejsce rentierów. Trzeba tylko wypłacić indemnizacyę posiadaczom rent gruntowych. George zresztą, który niedawno urządzał odczyty w główniejszych miastach angielskich, radzi unarodowienie bez indemnizacyi. Na pomysłach w tym kierunku nie zbywa. Giffen wystąpił świeżo w piśmie *Statist* z projektem wykupienia przez państwo rent gruntowych irlandzkich. Tytuł przytem własności gruntowej przeniesiony by był tym razem nie na państwo wielkobrytańskie, lecz na *home-rule* irlandzki. Przebiegli politycy zapewniają, że jest to skuteczny środek poróżnienia zwolenników autonomii irlandzkiej z irlandzkimi czynszownikami! Znajdują się w Anglii publicyści, którzy radziby podstawić parnelistów na miejsce landlordów i kazać im ściągać opłaty indemnizacyjne, choćby pod postacią podatku gruntowego. Projekt Giffena co do Irlandyi znalazł dlatego tylko niewielu zwolenników, że coby uczyniono dla Irlandyi, należałoby zastosować niebawem do Anglii i Szkocyi... Dodać jednak należy, że landlordowie irlandzcy, którzy dziś nie mają często możności ściągnięcia swych czynszów z nietajoną ra-

---

Kiedy miłość zaczyna się budzić w sercu, zdaje nam się, że świat cały do nas należy! A czy wiesz dlaczego? Czy wiesz, skąd pochodzi to uczucie bezgranicznego szczęścia? Jedynie stąd, że nam się wydaje, iż nie jesteśmy sami, że nasze osamotnienie, odosobnienie znikło. Co za pomyłka!

Więcej jeszcze dręczona od nas tą wieczną potrzebą miłości szarpiącej nasze samotne serce, kobieta jest wielkiem kłamstwem ułudy.

Znasz te rozkoszne godziny, spędzane z istotą o długich włosach, o powabnych rysach, o spojrzeniu doprowadzającem nas do obłędu. Co za upojenie ogarnia nasz umysł! Co za złudzenie nas unosi!

Ona i ja, za chwilę będziemy stanowić jedność. Lecz ta chwila nigdy nie nadchodzi i po całych tygodniach oczekiwania, nadziei i zwodnej radości, nagle, jednego dnia uczuwasz się bardziej niż dotąd—sam!

Po każdym pocałunku, po każdym uścisku osamotnienie się zwiększa. A jakie rozdzierające, a jakie okropne!

Czyż jeden poeta, M. Sully Prudhomme, nie napisał:

Pieszczoty, to serca gorące porywy,
To miłości biednej bezowocne próby,
Co przez ciało dusz spójni szuka niemożliwej...

Potem, skończyło się. Zaledwie możemy rozpoznać kobietę, która przez chwilę była wszystkiem w naszem życiu, lecz której myśli, banalnej prawdopodobnie, nie znaliśmy nigdy!

W takich nawet chwilach, w których się zdawało, że w tajemniczym akordzie dwóch istot, w najzupełniejszem zjednoczeniu pragnień i porywów, wniknęliśmy w głębię jej duszy, jeden często wyraz, jeden, jedyny wyraz wykazał nam naszą pomyłkę i jak błyskawica wśród nocy oświetlił dzielącą nas czarną przepaść.

A jednakże, co jest jeszcze najlepszego w życiu, to spędzenie wieczoru przy boku ukochanej kobiety, bez rozmowy; w błogiem tylko upojeniu samą jej obecnością. Więcej nie żądajmy, gdyż nigdy dwie istoty nie mogą z sobą zjednoczyć się w zupełności.

Co do mnie, zamknąłem już moją duszę. Nikomu teraz nie mówię, w co wierzę, co myślę, co kocham. Wiedząc, że jestem skazany na straszną samotność, patrzę na rzeczy, nie objawiając o nich zdania. Cóż mnie mogą obchodzić różnorodne opinie, spory, przyjemności, przekonania! Nie mogąc nic z nikim podzielić, zobojętniałem dla wszystkiego. Myśl moją pozostawiam w ukryciu, a na pytania, jakiemi mię codzień obrzucają, mam pewną ilość zdań pospolitych i uśmiech znaczący: „tak," kiedy mi się i mówić nie chce.

Czy mnie rozumiesz?

Przebyliśmy całą długość alei aż do Łuku tryumfalnego, następnie doszliśmy do Placu Zgody, gdyż mówił to wszystko zwolna, dodając jeszcze wiele rzeczy, których nie pamiętam.

Nagle stanął i wyciągając rękę ku wysokiemu obeliskowi z granitu, stojącemu na bruku paryskim, którego kształty egipskie zacierały się w ciemnościach nocy, a na bokach którego spisana była nieczytelnymi znakami historya jego kraju, zawołał:

— Patrz, wszyscy jesteśmy podobni do tego kamienia.

I odszedł, nie rzekłszy więcej ni słowa.

Czy był pijany? Czy mówił jak mędrzec, czy też jak szaleniec? Nie wiem dotąd. Czasem mi się zdaje, że miał słuszność, a czasem, że... zwaryował.

Tłom. *Kasylda K.*

K O N I E C.

dością przyjęliby bezpieczną i pewną rentę indemnizacyjną. Projekt oczywiście musi dojrzeć, opinia musi się z nim oswoić, konieczność musi go zarzucić — „co się jednak odwlecze, to nie uciecze!“

P.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Członkowie klubu niemieckiego austryackiej Rady państwa uchwalili rezolucyę, wyrażającą podziękowanie dla Bismarka za energiczną obronę interesów niemieckich. Ten wyskok prusofilstwa wywołał oburzenie nietylko umiarkowanej lewicy, czyli t. z. klubu niemiecko-austryackiego, ale i wyborców. Poseł jednego z okręgów wiedeńskich—Weitlof otrzymał już votum nagany od swych wyborców, za przykładem których pójdą zapewnie i inni. Pochwalna rezolucya nie dojdzie nawet do rąk Bismarka, bo ze względów grzeczności przedstawiciel Niemiec oświadczył, że jej nie przyjmie. Koło polskie zamierzało wystąpić z interpelacyą z powodu jednego ustępu mowy Bismarka o wzajemnem porozumieniu się rządów Prus i Austryi w sprawie wydalań polaków, ale „po dojrzałej rozwadze“ projekt ten cofnięto.

Poseł Lewakowski postawił w Kole wniosek, żeby zażądać od ministeryum wyjaśnienia: dlaczego skonfiskowano polskie dzienniki, które zamieściły artykuły o rozprawach w sejmie pruskim. Stańczycy pragnęli odroczyć ten nieprzyjemny dla rządu krok, lecz po burzliwych zajściach wniosek otrzymał większość, poczem wybrano komisyę, złożoną z Hausnera, Lewakowskiego i Madejskiego, która postawi zapytanie w Radzie państwa.

Tymczasem rząd pruski przygotował pospiesznie projekt do praw wyjątkowych, i w d. 9 lutego przedstawił go sejmowi. Żąda on 100 milionów marek kredytu na kolonizacyę ziem polskich. Oprócz tego postanowiono wspierać teatry niemieckie i zwrócić baczniejszą niż dotychczas uwagę na szkoły. Dzienniki zachowawcze żywią nadzieję, że nowy arcybiskup gnieznieński ks. Dinder będzie w tej sprawie rządowi pomocnym. *Köln. Zeitung* zapewnia, że w tym właśnie celu rząd wybrał go jako odpowiedniego kandydata, który położy tamę propagandzie polskiej. Przeciw mianowaniu ks. Dindera powstawało wielu kardynałów, ale papież oświadczył, że na pierwszym planie stawia interes kościoła katolickiego, który potrzebuje zgody i spokoju. Grzecznością płacąc za grzeczność, kanclerz niemiecki przedstawił już projekt ugody kościelnej, na który Watykan chętnie się zgodzi, tak przynajmniej zapewniają dobrze poinformowane dzienniki.

Układy pokojowe między Serbią i Bułgaryą nie rozpoczęły się jeszcze. Delegat turecki oświadczył, że nie posiada dokładnych instrukcyj. Wogóle rokowania przybierają ciekawy obrót. Porta występuje na pierwszy plan, z tej jakoby zasady, że książę Aleksander oddał się pod wyłączną jej opiekę. Rosya przysłała notę, na którą zgodziły się wszystkie mocarstwa, że podczas układów postanowienia traktatu berlińskiego nie będą wcale poruszane, jeżeli więc pokój między Serbią i Bułgaryą zostanie zawarty, to obie strony nic nie zyskają, gdyż o wypłacie kosztów wojennych niema już dziś mowy.

Szczegóły umowy turecko-bułgarskiej nie są dotychczas wiadome. Niema wątpliwości, że Porta uznaje połączenie Księstwa z Rumelią, ale według najnowszych wiadomości sułtan zgodził się na nowe ustępstwa, Rumelia po prostu połączona będzie z Bułgaryą, w zamian za co Turcya dostanie kilka okręgów muzułmańskich i będzie miała prawo trzymać załogę w Burgas. Natomiast Bułgarya zobowiązuje się do ścisłego przymierza z Portą. Przeciw niektórym warunkom tej umowy protestują pewne mocarstwa, przed zatwierdzeniem więc jej ma być zwołana znowu w Konstantynopolu konferencya przedstawicieli państw europejskich.

Gladstone zawiódł nadzieje greków, oświadczył im bowiem, że w walce z Turcyą nie mogą liczyć w żadnym razie na poparcie Anglii. Rząd ateński nie wyrzeka się jednak swych planów i prowadzi dalej uzbrojenia. Ostatnie depesze donoszą, że z powodu obrazy flagi greckiej zażądano od Turcyi zadośćuczynienia, oraz, że na Krecie wybuchło lub też wybuchnie w tych dniach powstanie. Wojna wisi na włosku i lada chwila zacząć się może. Niektóre dzienniki zamieszczają sensacyjną wiadomość, że w razie rozpoczęcia kroków wojennych flota angielska, krążąca na wodach Archipelagu, ma rozkaz uderzyć na greków.

Rządowi angielskiemu do szeregu licznych kłopotów przybywa nowy — rozruchy w Londynie, wywołane przez agitatorów socyalistycznych. Robotnicy zgromadzeni na wielki meeting zażądali przyjęcia bilu o mieszkaniach dla klas pracujących i skrócenia dnia roboczego do 8 godzin. Zebranie urządzała t. z. federacya socyalno-demokratyczna. Na drugi dzień przedmieście West-End, najbogatsza dzielnica Londynu, zostało formalnie spustoszone. Pięć tysięcy robotników, pozbawionych pracy, pod przewodnictwem agitatorów socyalistycznych, którzy nieśli czerwone sztandary, przyjęło udział w rabunku. Złupiono wszystkie wystawy jubilerów, sklepy cygar, wina, butów, produktów spożywczych i cukiernie. Zaburzenia nie ustają i rząd obawia się groźniejszych wybuchów.

Wniosek Rocheforta o ogólnej amnestyi odrzucony został znaczną większością głosów.

SPRAWY EKONOMICZNE.

J. Kirszrot-Prawnicki. **Kredyt włościański.** Warszawa, 1886.

Na 90 stronicach przytoczonej w nagłówku broszury porusza autor tyle spraw ważnych i różnorodnych, że wyczerpujący ich rozbiór wymagałby nie krótkiej wzmianki dziennikarskiej, ale całego szeregu artykułów. Ponieważ jednak *Prawda* o kredycie włościańskim wogóle i o wszystkich prawie poruszonych przez p. Kirszrota szczegółach jego organizacyi wypowiedziała już niejednokrotnie swe zdanie, dostatecznie, według naszego mniemania, uzasadnione i stale wyznawane, poruszymy więc tylko niektóre punkty sporne lub też zaznaczymy ciekawe dane i ważniejsze wnioski autora.

Porównywając wytwórczość wielkiej i małej własności w kraju, p. Kirszrot dowodzi, że rezultaty obu tych rodzajów uprawy są prawie jednakowe. Znaczne powiększenie produkcyi rolnej w dziesięcioleciu od 1864 — 1873 r., obok jednoczesnego wzrostu drobnej własności, świadczy dowodnie, że gospodarka chłopska niewiele różni się od szlacheckiej. Z pozoru nawet sądzićby można, że upadek posiadłości większych wpłynął na wzrost produkcyi, ponieważ przestrzeń uprawnej ziemi zwiększyła się tylko o 8%, produkcya zaś o 70%. Niezgodność tych cyfr wytłomaczyć można tem jedynie, że od czasu powstania i rozmnożenia się u nas własności drobnej powiększyła się znacznie produkcya kartofli, co odbiło się na ogólnej ilości zbiorów.

Na podstawie wielu różnorodnych danych p. Kirszrot przychodzi do wniosku, że cyfry wytwórczości wielkiej i drobnej własności zostają do siebie mniej więcej w tym stosunku, jaki wypada w *Statystyce* Załęskiego, tj. że przy średniej ogólnej wydajności dla Królestwa 4.2 ziarna, na gruntach obywatelskich zbierają 4.4, na włościańskich zaś 4.1 ziarna.

Dane te są dla autora punktem wyjścia, koniecznym wstępem do badań nad kredytem włościańskim: „wszelki bowiem kredyt mający służyć do celów produkcyjnych musi być oparty na dochodach, jakie danemu wytwórcy przynosi jego praca.“ Podstawa główna dla operacyj pożyczkowych istnieje i przedstawia zupełną pewność rezultatów pomyślnych.

Nie będziemy pobieżnie nawet streszczali dalszych rozdziałów; zaznaczymy tu tylko, że p. Kirszrot za mało uwzględnia lub też niekładzie dość silnego nacisku na potrzebę dla włościan kredytu długoterminowego, indemnizacyjnego, przeznaczonego wyłącznie na kupno ziemi. W artykule moim p. t. *Kredyt włościański* (*Prawda* n-ra 7 i 8 r. 1884) obliczyłem dosyć dokładnie, że obecnie znajduje się w Królestwie około 2 milionów ludności wiejskiej bezrolnej i co najmniej milion a może i półtora małorolnej. Cyfry te wzrastają z każdym rokiem; największy bowiem nawet rozwój przemysłu nie jest w stanie połowy tego przyrostu pochłonąć, parcelacya zaś zmniejsza się, bo oszczędności chłopskie wyczerpały się prawie zupełnie. Włościanin nasz domaga się przedewszystkiem kredytu na kupno ziemi, i krótko-terminowych, nieskrępowanych formalnościami pożyczek na nadzwyczajne potrzeby bieżące. Poglądy nasze na stan ekonomiczny ludu wiejskiego nie wyzwoliły się jeszcze ze złudzeń lat ubiegłych, ale z po za tej lekkiej zasłony coraz wyraźniej występują ostre zarysy „kwestyi agrarnej.“ Stworzenie kredytu długoterminowego na kupno ziemi nie leży w zakresie samodzielności społecznej, lecz wymaga koniecznie współudziału państwa; w Cesarstwie istnieją już banki włościańskie, o których autor mówi dosyć pobieżnie, nie wdając się w krytykę ich działalności. Należałoby jednak to uczynić, chociażby ze względu, że działalność Banku włościańskiego ma w przyszłości objąć również Królestwo. Nie możemy zgodzić się z p. Kirszrotem na jedyną jego krytyczną wzmiankę co do banków rosyjskich. Rozmiar pożyczki, ograniczony do 75% ceny gruntu nie jest bynajmniej zbyt wysokim, i sądzimy, że kiedy istytucya stanie na mocnym gruncie może go nawet podnieść nieco. Argument autora, że przewyżka dochodu po opłaceniu procentu od $^3/_4$ wartości ziemi nie wystarczy na utrzymanie właściciela gruntu z rodziną, posiada pozorną tylko słuszność. Pamiętać bowiem trzeba, że właściciel-chłop nie jest wcale posiadaczem-kapitalistą, który żyje wyłącznie z dochodu; jest on zarazem robotnikiem, na utrzymanie jego wystarcza zupełnie wynagrodzenie za pracę, potrącone z dochodu *brutto*, renta zaś z $^1/_4$ części gruntu pokryje wtedy nieprzewidziane rozchody lub wypadkowe straty. Jeżeli wzgląd ten mieć będziemy na uwadze, wtedy nabywanie ziemi za pożyczane pieniądze nie wyda się nam operacyą bardzo niebezpieczną.

W dzisiejszych warunkach kupno większych obszarów przez włościan spotyka wiele przeszkód; do najważniejszych należy konieczność spłacenia pożyczki Towarzystwa kredytowego. Instytucya ta od lat kilkunastu posiada wypracowane wszczegółach projekty kredytu dla włościan, ale nie myśli bynajmniej o wprowadzeniu ich w życie. Projekty te, a raczej jeden z nich, ma tę dobrą stronę, zasługującą na uznanie, że wymaga on solidarnej odpowiedzialności stowarzyszeń gminnych; pożyczka bowiem wtedy tylko może być udzieloną, jeżeli przystąpi do niej przynajmniej 30 właścicieli posiadłości drobnych,

którzy zawiążą pomiędzy sobą stowarzyszenie.

Dziwna rzecz, że p. Kirszrot, który ten punkt projektu uważa za bardzo właściwy, stanowczo oświadcza się przeciw utworzeniu hypoteki wspólnej. Nietylko w *Tygodniu* piotrkowskim, ale i w innych pismach czytaliśmy głosy, radzące urządzenie hypotek nie dla każdej osady oddzielnie, ale dla całej wsi zbiorowo, z oddzielnym jednak rachunkiem dla każdej posiadłości. Autor sądzi, że jest to niemożliwe, ponieważ własność w kraju naszym ma charakter czysto indywidualny, obowiązujące zaś prawo cywilne hypoteki zbiorowej nie zna. „Istnieją wprawdzie u nas własności wspólne gminne, służące dla użytku powszechnego — mówi p. Kirszrot — ale własności, którąby służyła za wspólne narzędzie produkcyi dla całej gminy, gdzie gromada wydziela swoim członkom pewne przestrzenie do uprawy na oznaczony czas, takiej własności kraj nasz nie zna.“

Bardzo słusznie, ale też nie o taką własność chodzi zwolennikom hypoteki zbiorowej, w której gromada występowałaby jako osoba moralna, co nie znosiłoby wcale osobistego posiadania gruntów przez jej członków. Dowód, że hypoteki takiej nie ma u nas, nic nie znaczy, trzeba bowiem wykazać, że projekt jest niewykonalnym lub też niepożądanym. Gdyby nawet przepisy kodeksu stały na przeszkodzie, to i przepisy można zmienić, jeżeli potrzeba, boć kodeks nie jest chyba objawieniem mądrości, którego przykazań łamać nie wolno. Prawo cywilne, obowiązujące dziś u nas, w swoim czasie bardziej poruszyło stosunki społeczne, aniżeli zrobiłoby to urządzenie hypoteki wspólnej. Jeżeli własność zbiorowa przeciwną jest pojęciom ludu, to również sprzeciwiają się im szczepione dziś za pomocą sądów gminnych przepisy spadkowe, znoszące utrwaloną obyczajem wolność testowania.

Idzie nam o hypoteki włościańskie dlatego tylko, że spodziewamy się, iż przy zaprowadzeniu odpowiedzialności zbiorowej, solidarnej, kredyt na kupno ziemi byłby łatwiejszy i tańszy, oraz pożyczka Towarzystwa kredytowego mogłaby zostać przy gruncie. Nie podzielamy zaś zdania p. Kirszrota o potrzebie dla włościan kredytu hypotecznego w celu dostarczenia kapitałów obrotowych. Gospodarstwo drobne nie wymaga nakładów kosztownych, które zresztą nie opłaciłyby się wcale. Ulepszenia polegają tutaj na staranniejszej uprawie roli, umiejętniejszej hodowli inwentarza, na właściwem użyciu pracy i stosowaniu kolei zasiewów, wreszcie na rozwoju dodatkowych gałęzi gospodarstwa: ogrodnictwa, pszczelnictwa, mleczarstwa itd. Kupno maszyn, stadników, drenowanie gruntów, osuszanie bagien itp. roboty dokonywane być mogą tylko siłami zbiorowemi, kredyt więc osobisty, chociażby hypoteczny niewiele tu pomoże.

Ważniejszym daleko dla włościan jest kredyt krótkoterminowy, za pomocą którego pokrywać mogą wydatki na potrzeby naglące, czasowe. Właściwa organizacya tego rodzaju pożyczek nie daje się łatwo przeprowadzić. Kredyt tego rodzaju powinien być przystępnym tj. wolnym od wszelkich zbytecznych formalności i jak każda pożyczka zaciągnięta przez rolnika, z łatwością przedłużanym. P. Kirszrot trafnie bardzo ocenił doniosłość tego ostatniego warunku.

W krótkich zarysach, ale dosyć wyczerpująco przedstawił zasady i urządzenie naszych kas gminnych, pożyczkowo-wkładowych, oraz kas pożyczkowych systemu Schultze-Delitscha i Reiffeisena. Te ostatnie, oparte na zasadach solidarności społecznej, rozwijają się w Niemczech bardzo pomyślnie, wbrew przewidywaniom ekonomistów starej szkoły.

Możnaby pospzeczać się jeszcze z autorem o zdanie jego zbyt korzystne dla „Zakładu kredytowego włościańskiego“ w Galicyi. Gdyby p. Kirszrot zechciał zbadać dokładniej przyczyny sprzedaży w ciągu 12 lat — 12.587 osad chłopskich w Galicyi i utraty przez włościan poznańskich w ciągu lat 22 — 658.303 morg. magd. ziemi — przekonałby się, jak obosieczną bronią jest kredyt hypoteczny.

Pomimo zaznaczonych powyżej różnic w zdaniu, dodać winienem, że sumienna praca p. Kirszrota-Prawnickiego zawiera oprócz ciekawych danych, wiele bardzo uwag trafnych, na które podpisujemy się obiema rękami. Szczególniej stosuje się to do rozdziałów, traktujących o kasach pożyczkowych. Autor obrał sobie niejako za specyalność sprawę kredytu, przedmiot, o którym mówi, poznał gruntownie i wzakresie swych studyów jest bez zaprzeczenia powagą w naszem skromnem piśmiennictwie ekonomicznem.

J. L. P.

BADANIA NAUKOWE.

O KAPITALE.

II.

Do najdotykalniejszych właściwości obrotów kapitału przemysłowego a zatem i produkcyi kapitalistycznej, według Marxa, należy okoliczność, że z jednej strony pierwiastki składowe kapitału produkcyjnego pochodzą z rynku towarowego i bez ustanku na nim muszą być odświeżane, w postaci towarów zakupowane; z drugiej, że produkt pracy, jako towar, na tymże rynku ma źródło swoje i wciąż, jako towar, zostaje sprzedawany.

Porównajmy np. nowoczesnego dzierżawcę dolnej Szkocyi z drobnym rolnikiem starej daty na lądzie stałym. Pierwszy sprzedaje całkowity plon swój, musi kupować nawet zasiewy; drugi większą część plonu swego spożywa bezpośrednio, kupuje i sprzedaje, o ile możności najmniej, sam przygotowuje sobie narzędzia, odzież itp.

Z uwagi na taki stan rzeczy niektórzy, jako trzy charakterystyczno-ekonomiczne postacie ruchu produkcyi społecznej, przeciwstawiali: gospodarstwo naturalne, pieniężne i kredytowe.

Marx nie zgadza się na pogląd podobny, najprzód dlatego, że trzy owe formy nie stanowią faz rozwojowych równej wartości. Tak zwane gospodarstwo kredytowe samo, podług niego, jest tylko formą pieniężnego, o ile oba te określenia wyrażają funkcye obrotowe lub sposoby załatwiania stosunków pomiędzy producentami. Wśród rozwiniętej produkcyi kapitalistycznej gospodarstwo pieniężne występuje jeszcze tylko jako podwalina kredytowego. Gospodarstwo pieniężne i kredytowe tedy odpowiadają tylko rozmaitym stopniom rozwoju produkcyi kapitalistycznej, ale bynajmniej nie są różnemi, samodzielnemi postaciami stosunków, w przeciwstawieniu do gospodarstwa naturalnego. Z równą słusznością pieniężnemu i kredytowemu możnaby przeciwstawić każdą z wielce rozmaitych form gospodarstwa naturalnego. Powtóre, ponieważ w kategoryach: gospodarstwo pieniężne, kredytowe, nie kładziemy nacisku na gospodarstwo samo, to jest na przebieg produkcyi i nie wyszczególniamy jako cechy odróżniającej lecz zaznaczamy jedynie odpowiadający każdemu gospodarstwu sposób załatwiania stosunków pomiędzy rozmaitymi działaczami produkcyi czyli producentami, należałoby to samo uczynić i co do kategoryi pierwszego rodzaju, a więc zamiast o gospodarstwie naturalnem, mówić o zamiennem. W takim razie gospodarstwo naturalne, całkowicie w sobie zamknięte, np. peruwiańskie państwo inków, nie podchodziłoby pod żadną z wymienionych kategoryj. Potrzecie, gospodarstwo pieniężne wspólnem jest wszelkiej produkcyi towarowej, a produkt pod postacią towaru występuje w najrozmaitszych organizmach wytwórczo-społecznych. Tylko więc zakres, w którym produkt jako przedmiot zbytu, jako towar, zostaje wytwarzanym, a więc i własne jego części składowe znów, jako przedmioty zbytu, jako towary, wsiąkać muszą w gospodarstwo, z którego wziął początek — stanowiłby charakterystykę wytwórczości kapitalistycznej. „W rzeczy samej — dodaje Marx — wytwórczość kapitalistyczna jest wytwórczością towarową, jako ogólną formą produkcyi, jest ona nią jednak i staje się coraz więcej w dalszym rozwoju, dlatego tylko, że tu praca sama jako towar się przejawia, że robotnik sprzedaje pracę, to jest, czynność siły swej roboczej, za cenę ściśle odpowiadającą kosztom reprodukcyi. W miarę, jak praca staje się najemniczą, producent staje się kapitalistą przemysłowym; wytwórczość kapitalistyczna przeto, a więc i wytwórczość towarowa, w całej dopiero występuje pełni, kiedy i bezpośredni producent wiejski zamienia się na robotnika najemnego. Pomiędzy kapitalistą a robotnikiem płatnym, stosunek pieniężny, stosunek kupującego i sprzedawcy, staje się stosunkiem tkwiącym w produkcyi samej. Stosunek ten wszelako w gruncie polega na społecznym charakterze wytwórczości, nie na sposobie prowadzenia obrotów.“

Do kosztów obiegu (cyrkulacyi) Marx zalicza: czas potrzebny na kupno i sprzedaż, utrzymywanie ksiąg, pieniądze, koszta przechowania rzeczy, tworzenia zapasów i transportu. O wszystkich ogólną podając zasadę, że o ile są następstwem prostej zmiany formy towarów, tym ostatnim żadnej nie dodają wartości. „Są to koszta—mówi — ponoszone jedynie w celu zrealizowania wartości lub dla jej zamiany z jednej formy na drugą. Włożony w nie kapitał, razem z kierowaną przezeń pracą, należy do tak zwanych „faux frais“ produkcyi kapitalistycznej. Zwrot jego nastąpić musi z nadproduktu (Mehrprodukt) i, jeśli uwzględnimy cały stan kapitalistów, tworzy potrącenie z przewyżki wartości czyli nadproduktu, tak samo zupełnie, jak dla robotnika pojedynczego czas potrzebny na zakupno artykułów żywności stanowi czas stracony.“

W bliższem rozwinięciu tych pojęć Marx koszta obiegu przyrównywa do pracy spalenia materyału, używanego dla wytworzenia ciepła. Praca ta ciepła nie daje, jakkolwiek jest niezbędnym czynnikiem procesu spalenia. Ażeby np. spożytkować węgiel na opał, muszę połączyć go z tlenem i w tym celu ze stanu stałego przeprowadzić go w lotny, a więc wywołać zmianę formy fizycznego istnienia. Rozdzielenie cząstek materyi węglowej, spojonych w jedną bryłę i rozsadzenie każdej cząstki na pojedyncze atomy — poprzedzić musi związek nowopowstały i wymaga pewnego natężenia, które nietylko na ciepło się nie zamienia, lecz nadto musi z niego być potrąconem. Jeżeli przeto posiadacze towarów nie są kapitalistami, ale samodzielnymi i bezpośrednimi producentami — to w tym razie czas użyty na kupno i sprzedaż jest prostem potrąceniem z ich czasu roboczego, co nam tłomaczy, dlaczego producenci ci (w starożytności zwłaszcza i wiekach średnich) czynności tego rodzaju starali się odkładać na dni świąteczne. Rozmiary, jakie obrót towarów przybiera w rękach kapitalistów, nie mogą, rozumie się, przeistoczyć natury pracy, nie tworzącej żadnej wartości, lecz pośredniczącej jedynie w zamianie formy tej wartości. Cudu tego również dokonać nie jest w stanie transpozycya, to jest, to, że kapitaliści przemysłowi, zamiast sami zajmować się

ową czynnością spalenia," tworzą z niej specyalne zatrudnienie osób trzecich, płatnych. Te trzecie osoby bowiem również nie poświęcą pracy swojej dla pięknych oczu kapitalistów. Poborcy dochodów u właściciela ziemskiego lub służącemu banku podobnież obojętnem jest, że praca ich o szeląg jeden nie powiększa wartości ani dochodów owych, ani złota całemi worami do innej instytucyi zanoszonych. Tworzenie zapasów, według Marxa, normalnem jest o tyle tylko, o ile zapasy te stanowią warunek cyrkulacyi towarowej i są formą wśród niej z konieczności powstałą, o ile więc pozorny zastój ten jest postacią biegu samego, zupełnie tak, jak tworzenie funduszu zasobowego, jest warunkiem cyrkulacyi pieniężnej. Skoro natomiast towary, pozostające w zbiornikach swych obiegowych nie ustępują miejsca goniącym za nimi falom wytwórczości, zbiorniki zostają przepełnione, wtedy zapasy towarowe w skutek zatamowania cyrkulacyi zwiększają się, podobnie jak wzrastają zasoby pieniędzy, gdy jest zastój w ich obiegu. Niema przytem różnicy, czy zatamowanie to zachodzi w spichrzach kapitalistów, czy też w składach kupieckich. Zapasy takie nie są warunkiem nieprzerwanej możności sprzedaży, lecz następstwem niesprzedawalności towarów. Koszta pozostają też same, ponieważ jednak w tym wypadku wynikają czysto z formy, to jest z konieczności zamiany towarów na pieniądze i z trudności, z jaką odbywa się podobna przemiana, przeto nie wchodzą w skład wartości towaru, lecz tworzą potrącenia, straty w realizowaniu jej. O transporcie powiada Marx, iż on produktom wartości nie dodaje, ale że wartość użytkowa przedmiotów urzeczywistnia się jedynie w ich spożyciu, to spożycie zaś najczęściej koniecznem czyni zmianę ich miejsca, a tem samem i dodatkową produkcyę przemysłu transportowego. Włożony więc w ten przemysł kapitał produkcyjny powiększa wartość produktów transportowanych, już przez przeniesienie na nich wartości środków transportowych, już też przez dodanie do nich wartości pracy transportowej. Ostatni ten dodatek, jak wogóle przy wszelkiej produkcyi kapitalistycznej, rozpada się na zwrot płacy zarobkowej i nadwartość (Mehrwerth). W granicach każdego procesu wytwórczego zmiana miejsca przedmiotu obrabianego, jak i potrzebne na to środki i siły — wielką odgrywają rolę (np. bawełna przeniesiona z przedsionka do przędzalni, węgiel z kopalni wydobyty na powierzchnię). Toż samo zjawisko, tylko na większą skalę, przedstawia przejście gotowego produktu w postaci wykończonego towaru z jednej samoistnej miejscowości wytwórczej do drugiej, przestrzeniowo oddalonej. Po przeniesieniu produktu z jednej miejscowości wytwórczej do drugiej następuje jeszcze przeniesienie produktów gotowych ze sfery wytwórczej do takiejże sfery spożywczej. Po skończeniu dopiero ruchu tego, rzec można, że produkt przygotowany jest do spożycia. Marx cytuje w tem miejscu ustęp z Saya, który powiada: „Handel daje nam możność otrzymania towaru danego u źródła, w miejscu pierwotnem, i przetransportowania go do innej miejscowości spożywczej; daje nam przeto możność powiększenia wartości tego towaru o całą różnicę pomiędzy ceną w miejscu pierwszem, a tą, jaka istnieje w drugiem." Bezwzględna ilość wartości, jaką towarom przysparza transport, pozostaje w stosunku odwrotnym do siły produkcyjnej przemysłu transportowego, a w stosunku prostym do mających się przebiedz odległości. Ilość względna tejże wartości ma się w stosunku prostym do objętości i wagi towarów. Liczne tu jednak są okoliczności modyfikujące. Transport wymaga np. mniejszych lub większych środków ochronnych, a więc mniejszych lub większych nakładów pracy, stosownie do względnej łamliwości, lotności lub własności wybuchowej przedmiotu. „Tu — dodaje Marx — pod względem fantastycznego tworzenia gatunków i podgatunków potentaci kolejowi większą rozwijają genialność, aniżeli wszyscy botanicy i zoologowie razem wzięci. Klasyfikacya towarów na kolejach angielskich np. zapełnia tomy całe i według ogólnej zasady polega na tendencyi przeistoczenia rozlicznych naturalnych własności towarów na podobnież rozliczne kruczki transportowe (Transportgebresten) i obowiązkowe pozory wyzysku."

Przechodząc do krytyki teoryj swoich poprzedników, Marx zaznacza, iż Smith popełnił wielki błąd, dzieląc całkowite bogactwo społeczne na: 1) bezpośredni fundusz spożywczy, 2 kapitał stały i 3) kapitał obiegowy. Z podziału tego bowiem należałoby dojść do wniosku, że całe bogactwo to składa się: 1) z funduszu spożywczego, który nie stanowi części czynnego kapitału społecznego, jakkolwiek pewne części jego ciągłą *mają możność* funkcyonowania, jako kapitał i 2) z kapitału. Część przeto bogactwa czynną jest jako kapitał, druga zaś objawia się jako niekapitał, czyli fundusz spożywczy. „I — powiada dalej Marx — zdaje się, jakoby dla wszelkiego kapitału niezbędną było koniecznością, mieć postać stałą lub płynną, podobnie jak dla zwierzęcia ssącego koniecznością jest przyrodzoną być rodzaju męskiego lub żeńskiego." Tymczasem przeciwieństwo pomiędzy stanem stałym i płynnym ma tylko zastosowanie do pierwiastków kapitału produkcyjnego, obok tego ostatniego wszakże istnieje ogromne mnóstwo kapitału (towarowy i pieniężny), którego kształt nie może być ani stałym, ani płynnym. Ponieważ, z wyjątkiem pewnej części produktu, która w formie naturalnej bez sprzedaży lub kupna bezpośrednio przez pojedynczego producenta kapitalistycznego do dalszej wytwórczości zostaje użytą, ogólny zbiór produkcyi społecznej (na podstawie kapitalistycznej) ma obieg na rynku w postaci kapitału towarowego, stąd jasnem jest, że z kapitału tego wyciągają się wszystkie pierwiastki zarówno stałe i płynne kapitału produkcyjnego, jako i funduszu spożywczego (konsumcyjnego), co nie znaczy nic innego, jak tylko, że tak samo środki produkcyjne, jako i konsumcyjne na podstawie produkcyi kapitalistycznej najsamprzód występują jako kapitał towarowy, chociaż przeznaczone są służyć później za środki produkcyjne lub konsumcyjne.

Nieraz podnoszone i przeżuwane pytanie: czy produkcya kapitalistyczna w obecnym jej zakresie możliwą by była bez kredytu, t. j. mogłaby się oprzeć na cyrkulacyi tylko metalicznej — Marx rozstrzyga wprost przecząco. Produkcya ta bowiem znalazłaby granice w wydajności kruszców szlachetnych. Z drugiej strony nie należy sobie robić żadnych wyobrażeń mistycznych o sile wytwórczej, jaką ma kredyt, o ile daje do rozporządzenia lub w ruch wprawia pieniądz. Zbiór sił do pracy, oraz środków wytwórczości społecznej, które w postaci narzędzi obiegu zużyte zostają w ciągu rocznej produkcyi złota i srebra, tworzą znaczną pozycyę tak zwanych „faux frais" systemu kapitalistycznego, wogóle polegającego na produkcyi towarowej. Nie pozwala on społeczeństwu korzystać z odpowiedniej ilości możliwych a dodatkowych środków wytwórczości i spożycia, t.j. rzeczywistego bogactwa. O ile zmniejszają się koszta tej drugiej maszyneryi cyrkulacyjnej przy jednostajnej, danej skali produkcyi lub przy danym stopniu rozciągłości, o tyle wzrasta przez to siła wytwórcza pracy społecznej. Jeżeli przeto rozwijające się wraz z kredytem środki pomocnicze wpływ taki wywierają, pomnażają one bezpośrednio bogactwo kapitalistyczne, już to w ten sposób, że za ich pomocą znaczna część przebiegu wytwórczości i pracy w społeczeństwie dokonywa się bez wszelkiego udziału pieniędzy rzeczywistych, już też, że znakomicie podnoszą znaczenie pieniędzy istotnie w obiegu będących. „Pieniądz — mówi Marx — wogóle jest formą, w jakiej objawić się musi każdy kapitał indywidualny, aby się zamienić na kapitał produkcyjny; czy zaś pieniądz ten wyobraża kruszec, bilet kredytowy lub inny jaki znak wartościowy — to dla rzeczy różnicy nie stanowi."

(D. n.).

Ad. J. Cohn.

JĘZYKOZNAWSTWO.

TRZY NOWE SŁOWNIKI.

Biskup Adam Stanisław Krasiński, dr. teol. **Słownik synonimów polskich.** Wyd. Akademii Umiejętności w Krakowie, 1885. 2 tomy, str. 142, 477 i XXIV, w 8-ce większej.

Ze wzruszeniem, z rozczuleniem nawet powitałem to dzieło. Taż to ręka, która przed pół wiekiem obdarzyła kraj najlepszą i najpraktyczniejszą gramatyką mowy ojczystej, z której, dzieckiem będąc, uczyłem się z tysiącami rówieśników pierwszych zasad języka rodzinnego, podaje nam dzisiaj, po tylu strasznych burzach i klęskach, skarbiec synonimów naszych! Więc mimo innych prac i obowiązków tylu, mimo nieszczęścia, szlachetna dusza ta nie uległa i na schyłku żywota wróciła do „dawnego znajomego", ogarnęła bogactwo jego i roztoczyła je przed oczyma rodaków.

Długie, zbyt długie wczasy swoje autor poświęcał mrówczej pracy zestawiania różniczkowego i określania jednoznaczników, albo raczej blizkoznaczników polskich. Część przykładów wziął ze słownika Lindego, a najmniej cztery piąte ze źródeł autentycznych, jak sam powiada (na str. XVI). „Głównem zadaniem naszem było (mówi na str. X) wykazać, o ile można ściśle, czem się jeden synonim od drugiego różni... Za jedyny do tego sposób uważaliśmy dać definicyę każdego synonimu. Że zaś definicya, żeby była dobrą, powinna przedmiot określać ściśle, jasno i w niewielu słowach, przeto wzięliśmy sobie za prawidło nie rozszerzać się nad przedmiotem, unikać stowarzyszenia wyobrażeń i ile możność wyrażać się tak po prostu, iżby się każdemu zdawało, że on to samo myślał." O pracy swej sza-nowny autor sądzi bardzo skromnie. „Nie pisałem dla uczonych, którzy, że użyję słów Ł. Górnickiego, „wiem pewnie iż dobrze lepiej niż ja wszystko umieją." Znajdzie się w niej niejedno objaśnienie mniej trafne lub niedokładne. Na to cała wymówka, żem lepiej nie umiał... Stojąc już jedną nogą w grobie, składam tę acz ubogą ofiarę, jako grosz wdowi, na ołtarzu ojczyzny" (str. XVI).

Wobec tej skromności i ogromnych zasług sędziwego autora, obowiązkiem referenta jest powstrzymanie się od wypowiedzenia wszystkiego tego, coby o nim jako o człowieku i dostojniku pragnął napisać i zmuszenie siebie do czysto przedmiotowego sądu o dziele, tak jak gdyby ono pochodziło od zwykłego pracownika. Spełniając to nie łatwe zadanie, myślę, iż oddam najsprawiedliwszy hołd ks. Krasińskiemu, jako autorowi *Słownika synonimów*.

Słownik taki, rzec można, jest u nas pierwszym plonem na niezoranej niwie. Robót przygotowawczych autor jego na polu naszem nie znajdzie; stanie jako pierwszy i pojedyńczy zapaśnik wobec przeszło stutysięcznego hufca wyrazów, uszykowanych w zwykłych słownikach i będzie musiał spytać każdego o imię i ro-

lę jego, ustawić wszystkich w nowym porządku i nową barwą każdego obdarzyć. Trudność to tak wielka, iż z góry osądzić można, że jeden człowiek jej nie będzie w stanie podołać. Nie tylko więc nie trzeba się gorszyć, ale nawet dziwić się nie należy, gdy usiłowania jednostki w części, i to w drobnej tylko, sprostają zadaniu.

Przeglądając w tym kierunku *Słownik* ks. Krasińskiego, znajdujemy sprawdzenie tego przewidywania: nie jest on zupełnym, nawet bardzo dalekim od zupełności. Aby dać o tem pojęcie, przypatrzmy się pierwszym stronom dzieła. Na samym początku czytamy: Abecadło, a przy tym wyrazie ustawione i objaśnione: Alfabet, Hieroglify, Runy; dalej następuje Abstrakt. Otóż pomiędzy Abecadło i Abstrakt, według mojego obliczenia, brakuje następnych 57 wyrazów:

naprzód, przed Abecadło: A, Abdankować, Abderyta (w znaczeniu głupiec), Abdominalny, Abdruk, Abdykacja, Abdykować, Abecadarjusz, Abecadlarz, Abecadlarka, Abecadlnik; po Abecadło : Abecadłowy, Abelek, Abelkowy, Abelowy, Aberracja, Abituryent, Abjuracja, Abjurować, Ablaktowanie, Ablatyw, Ablegacja, Ablegat, Ablegowanie, Ablegry, Ablucja, Abnegacja, Abnegat, Abnegatka, Abo, Abolicjonista, Abominacja, Abonament, Abonent, Abonować, Abordaż, Aborygieni, Abowiem, Abrenuncjacja, Abrewjacja, Abrewjator, Abrewjatura, Abrogacja, Abrupto (ex...). Abrys, Abscyssa, Absolucja, Absolut, Absolntnie, Absolutność, Absolutny, Absolutyzm, Absorbcja, Absorbować, Absorbowanie, Abstrakcja, Abstrakcyjny. Pomiędzy Badać a Bajeczny nie znajduję 43 wyrazów następnych : Badacz, Badaczka, Badanie, Badatliwy, Badawja, Badjan, Badurzyć, Badyl, Bagatela, Bagatelny, Bagazja, Bagazjowy, Bagaż, Bagażowy, Bagienko, Bagienny, Bagnet, Bagniątko, Bagnica, Bagnik, Bagnisko, Bagnisty, Bagno, Bagnówka, Bahun, Baj, Baja, Bajacz, Bajać, Bajączka, Bajadera, Bajanie, Bajarka, Bajarz, Baj bardzo, Bajborak, Bajczany, Bajczarka, Bajczarz, Bajda, Bajdak, Bajeczka, Bajeczność. Tak samo jest przez cały słownik. Znajdujemy np. Koń, ale niema Klacz, Kobyła; jest Baran i to pod Skop, ale Owca niema itd.

Na końcu tomu II. autor podaje ogół zestawionych przez siebie wyrazów : 2993. Gdy liczbę tę porównamy z obrachunkiem F. Sławińskiego, który w *Słowniku wileńskim* narachował 108,513 wyrazów (liczba ta, mówiąc nawiasem, nie wyczerpuje słowozbioru naszego), gdy weźmiemy na uwagę, że istnieje prócz tego wielka ilość wyrazów staropolskich i gwarowych, *Słownikiem wileńskim* nieobjętych, to określimy przez przybliżenie stosunek ilości objaśnionych przez ks. Krasińskiego wyrazów do całego ich zasobu w mowie polskiej jak 1 do 40 lub 50, czyli że przyszłym pracownikom na polu synonimiki naszej wypadnie zdziałać 40 do 50 razy tyle.

Lecz stosunek ten zmieni się na jeszcze niepomyślniejszy, gdy zważymy, że ks. Krasiński w słowniku swoim bierze zwykle każdy wyraz w jednem tylko znaczeniu; tak np. Baba odsyła do kobieta, a tam oczywiście Babę objaśnia tylko w znaczeniu niewiasta, tymczasem wyraz Baba ma w języku naszym prócz tego dziewięć znaczeń: 1, żebraczka 2, tchórz 3, matka matki 4, figura w szachach 5, akuszerka 6, kloc 7, bosak 8, gatunek ciasta i 9, gatunek gruszki; a nadto w różnych gwarach znaczy jeszcze 10, żona 11, zatyczka w kominie 12, gwiazda i 13, rodzaj czapki.

Pośpieszam dodać jednakże, iż zachodzi tu ta łagodząca okoliczność, że opuszczone w rozbieranym słowniku wyrazy są przeważnie naprzód mało używane, powtóre techniczne, po trzecie obce, wreszcie staropolskie. Szanowny autor widocznie zamierzył sobie i ułożył słownik wyrazów bliskoznacznych najpotoczniejszych; szkoda tylko, że tytułem jasno i wyraźnie pola tego nie ograniczył.

Definicye czyli określenia wyrazów po większej części są dokładne, krótkie i dobitne; rozróżnienia jednych od drugich jasne i zwięzłe. Nowe przykłady, wybrane z nowszych pisarzy, są pożądanym nabytkiem dla piśmiennictwa naszego słownikowego; jest to przyczynek wcale obfity do słownika Lindego i ma wysoką wartość nie tylko jako ilustracya synonimów, ale jako materyał leksykograficzny wogóle.

Strona słoworodowa (etymologiczna) przeważnie dobrze się przedstawia. To, co o słoworodzie i o języku wógóle mówi autor w przedmowie, na dziś jest po części przestarzałością; tak np. (str. III) że język ma być „organizmem, mającym swoją budowę, swoje życie, swoje prawa, nareszcie swoją historyę i filozofię.“ Niektóre rodowody słów są błędne, np. Bogaty nie pochodzi od Bóg (str. 24), Obfitość nie pochodzi od starosłowiańs. obdo (410), Zapas nie pochodzi od noszenia „za pasem“ (411), Tułać się nie ma żadnego związku z tułem czyli [sajdakiem (23) itd. Większość jednakże etymologij jest trafna, a przydanie blizkobrzmiących wyrazów starosłowiańskich (które autor dość niefortunnie cerkiewnemi nazywa), czeskich i rosyjskich jest wysoce pożytecznem.

Streszczając za i przeciw, uznać trzeba, że praca księdza K. jest wysoce sumienną i pożyteczną. Wypełnia ona brak dotkliwie uczuwany przez wszystkich; dzielnie posłuży każdemu piszącemu, gdy mu się nasunie wątpliwość o dokładnem znaczeniu jakiegoś wyrazu, o jego różnicy od blizkoznacznego, lub gdy poprostu słowa mu zabraknie; stanowić będzie obfity zapas nowozgromadzonych przykładów i to z najlepszych pisarzy, a także ważny zasób, rzec można, podstawę dla prac tego rodzaju w przyszłości. Niedostatki, wytknięte powyżej, nie uwłaczają wartości dzieła, tłomaczą się samą naturą rzeczy, ogromem zadania i ułomnością sił jednostki; zalety wreszcie tak dalece przeważają drobne usterki, że się o nich łatwo zapomina.

Należy się więc sędziwemu a dostojnemu autorowi *Słownika synonimów* cześć i wdzięczność od ogółu naszego. Gdyby oświecona większość duchowieństwa naszego takim pracom poświęcać chciała swe wczasy, upływające wśród domowej zagrody, jakim się oddawał dobry nasz pasterz, tęskniąc do niej na dalekim wschodzie, toby nauka nowożytna u nas mniej miała niepowołanych i zaślepionych napastników, a więcej prawdziwie cennych nabytków.

Winniśmy też podziękowanie Akademii Umiejętności za ogłoszenie *Słownika* swoim nakładem; lecz obok tego musimy protestować przeciwko wysokiej cenie jego, 11 złr. Porównajmy ją z ceną słowników Lindego i wileńskiego. Pierwszy obejmuje stron 4724, z ktrych każda równa się dwiem *Słownika synonimów* kosztuje zaś 22 złr.; a ponieważ *Słownik synonimów* zawiera str. 1119, więc w stosunku do Słownika Lindego powinienby kosztować ośm razy mniej, czyli około 1 złr. 30 c. Słownik wileński ma str. 2280, z których każda równa się także dwiem *Słownika synonimów*, kosztuje zaś 6 rub.; zatem Słownik ks. Krasińskiego powinienby w tym stosunku kosztować przeszło cztery razy mniej, więc około $1\frac{1}{2}$ rubla. Cena 11 złr. czyni go nieprzystępnym dla kół szerszych, dla których właśnie byłby najprzydatniejszym; zniżyć ją koniecznie potrzeba przynajmniej na 3 złr.

F. Miklosich. **Dictionnaire abrégé de six langues slaves** (russe, vieux-slave, bulgare, serbe, tchèque et polonais) ainsi que français et allemand redigé... par le professeur, Wiedeń, 1885, str. 955, w 8-ce wiêk.

Obok wyżej wymienionego tytułu, znajduje się drugi, rosyjski; na odwrocie jego czytamy objaśnienie, w której rubryce jaki język się znajduje, napisane po rosyjsku i niemiecku; dla czego i po niemiecku, kiedy tytuł główny po francusku? Dowiadujemy się prócz tego, że autorami słownika są pp.: Miklosich, Nikolskij Novaković, Matzenauer i A. Brückner.

Aby dać wyobrażenie o rozmiarach i układzie słownika, podaję parę wyjątków.

Ros. akuratnyj; Bulg. akuraten, prav, istinski; Serb. tačan, uredan; Czesk, porádný, zevrubný, důkladný, bedlivý, akurátný; Pols, akuratny, dokładny, ścisły; Franc. exact; Niemiec. genau, pünktlich.

Ros. vseljatь, vselitь, pod temi wyrazami Staro-Słowiań. vъseliti, vъseljati; Bulg. naselêvam; Serb. naseljavati, naseliti, smeštati, smestiti; Czesk. usazovati, usázeti, usaditi (obyvatele), osazovati, osaditi lidem; Pols. osiedlać; Franc. établir, fixer dans un lieu; Niem, angesessen oder ansässig machen.

Widzi czytelnik z tych paru przykładów, że słownik jest nader szczupły, rozmiarem nie przechodzący tak zwanych słowników kieszonkowych. Mówię tu o mierze jego, że tak powiem, w szerokość. O mierze w długość niech następna wskazówka da wyobrażenie.

Porównywając go co do wyrazów starosłowiańskich ze słownikiem Miklosicha „Lexicon palaeoslovenico-graeco-latinum,“ nie znajdujemy np. pomiędzy wyrazami prazdьnoslovьstvovati a prazъ-słów następnych: prazdьnoslovьcь, prazdьnojadьcь, prazdьnъ, prazdьnьstvije, prazdьstvьno, prazdьnьstvьnъ, prazdьnjenije, prazovъ, prazostrigъ, prazъ v. porozъ, prazъ. Znajdujące się zaś wśród tych wyrazów słowa prazdьnъ i prazdьnьstvo nie są dokładnie wytłómaczone; pierwszy bowiem oprócz znaczeń: vacant; oisif, désoeuvré, podanych w słowniku, znaczy jeszcze i świąteczny; non gravida; drugi zaś, objaśniony : la fête, solennité, znaczy nadto : wczas, wypoczynek (niedzielny).

Porównanie części rosyjskiej słownika ze średniej objętości słownikiem Potockiego, okazuje, iż w dykcyonarzu, o którym mowa, niedostaje wyrazów następnych:

np. pomiędzy matъ a mahъ : maunica, maunnyj, maunъ, mahalka, mahalo, mahalьnoj, mahalьnyj, mahalьce, mahalьščikъ, mahanie, mahlevatь, mahina i pochodne: mahovoj, mahorka, mahorskij, mahotka, mahotnyj, mahrovoj, mahunkovy jagody.

Oczywiście więc rozbierany tu słownik, przynajmniej co do języków rosyjskiego i starosłowiańskiego, nie jest wyczerpującym; podaje cząstkę tylko zasobu ich słów. Co się tycze innych języków, porównanie abecadłowe ich zasobu jest niemożebnem, gdyż nie służą one za punkt wyjścia; ale z ilości niedostatków w dwóch językach wymienionych można już wnosić o takiejże i innych.

Do praktycznego tedy użytku słownik nie wiele się przydać może, jako niezupełny. Krótki przegląd przekona nas, że i do badania naukowego jest on mało przydatny. Tak np. przypuśćmy, iż językoznawca chce się zeń dowiedzieć, czy znane mu z innych języków słowiańskich: pierw. pąt, albo nazwa rośliny, zawierająca w sobie coś o „dziewięciu siłach,“ znajdują się, w polszczyźnie. Szuka tedy pod ros. putnikъ i w kolumnie polskiej znajduje : podróżnik; szuka pod ros. devjasilъ i tamże znajduje: oman. A jednak język polski posiada wyrazy : pątnik i dziewięćsił. Widać ztąd, że słownik nie ma zamiaru służenia jako materyał lingwistyczny.

Część polska jego przedstawia się nieświetnie; wyrazów zawiera mniej, niż np. czeska lub serbska; niezawsze dobrane są one odpowiednio lub prawdziwie; tak np. ros. altarь objaśniono przez : ołtarz, *przenajświętsze* (?); ros. strogij przez : surowy, *srogi*, *ostry*. *Srogi* po rosyjsku ma sobie odpowiednie : svirêpyj albo ljutyj, *ostry* znaj-

duje się tu bez potrzeby; ros. archierej nie znaczy prałat; na prałata rosyanie mają wyraz prelatъ itd. Pisownia polska, w najdrażliwszej swej stronie, ukazuje się w słowniku bez konsekwencyi: gimnazjum, bombardjer—obok teogonia, teokracia, denunciacia, parodia—dyament—dyjadem, dyjalekt, dyjeta itd.

Gdy zważymy ten jeszcze ważny niedostatek, że w słowniku uwzględniono sześć tylko języków słowiańskich, z pominięciem słowackiego, łużyckich, słoweńskiego, ukraińskiego i białorusińskiego, wówczas na pytanie: w jakim celu go ułożono i jaki kto z niego mieć będzie pożytek, nie znajdziemy odpowiedzi, pomimo najszczerszą chęć wyszukania jej, przez wzgląd na niektóre zasłużone skądinąd nazwiska, figurujące na tytule.

Słuszność nakazuje jednak dodać, że mimo radykalną nieużyteczność, słownik ten ma i dobre swe strony, które, gdyby nie zupełnie chybiony plan ogólny, wyszłyby na dobre inaczej pomyślanemu i wykonanemu dziełu. Korekta jest staranna, druk piękny, a myśl wzięcia za punkt wyjścia języka rosyjskiego wspólnie ze starosłowiańskim, jest niezawodnie pomyślną. Język rosyjski bowiem, jak wiadomo, jest mieszaniną mowy wielkorusińskiej z południowosłowiańską, zwaną starosłowiańską; biorąc go więc za podstawę, załatwia się jednocześnie dwa języki, oszczędzając tym sposobem połowę miejsca i czasu.

Cena słownika, jest niesłychanie wysoką: 15 złr.!

W. Vočadlo. **Słownik kieszonkowy polsko-czeskiej różnojęzyczności** (poniżej także tytuł czeski). Tabor, 1883. Wychodzi zeszytami, w 8-ce małej.

Autor, nauczyciel gimnazyum realnego w Taborze, zachęcony artykułem pana B. Maryana w czasopiśmie *Osveta* (r. 1882 N. 9), doradzającego układami słowników słowiańskich tak zwanych dyferencyalnych, czyli różnicowych, to jest wyjaśniających te tylko wyrazy języków pokrewnych, które albo w drugim się nie znajdują, albo, znajdując się, mają inne znaczenie, rozpoczął ogłaszać słownik polsko-czeski, z myślą zastąpienia nim zupełnych słowników polsko-czeskich dla czechów i ułatwienia polakom poznania czeszczyzny. Pomysł niezawodnie bardzo szczęśliwy. Wykonanie jego, ile sądzić można z tego, co dotąd wydrukowano, przeważnie dobre. Pan Vočadlo, jak się zdaje, wziął za podstawę słownik Lindego, z całym jego bagażem słów przestarzałych, dzisiaj mało lub wcale nie używanych; z tego mu jednak nie czynimy zarzutu, bo w słownikach lepiej gdy jest za wiele niż zbyt mało. Pomyłek w rodzaju tej np.: „*Bezetchu* beze střechy" (Linde odprawia do *Dech*, panu V. zdalo się że do *Dach*) jest niewiele.

Jan Karłowicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

200 par do kontredansa. — Najweselsze miasto i zadowolony naród. — Bal polski w Wiedniu. — Nasz szczyt z celem politycznym. — Libretto dla operetki. — Wódz pierwszej polskiej wyprawy do Afryki w Krakowie. — Jego sny. — Towarzystwo geograficzne. — Uwaga *Przeglądu*. — Zamrożony rozum. — Zdobywcy przyszłości.

Karnawał przy dźwiękach muzyki Gasparone'a i akompaniamencie z „ausrotten" rozwesela się coraz bardziej. W jednej z resurs, jak donosi dbały o tego rodzaju „ewenementy" *Kuryer*, stanęło dojednego kontredansa 200 kilka par. „Luba czegoż chcesz więcej?" — zwłaszcza w epoce bankructw, ubóstwa, zastoju i wykopywania „polskich intryg." Pewien znakomity cudzoziemiec rzekł do mnie w tych dniach:

— Ależ, panie kochany, na co wy narzekacie? Nigdzie, powtarzam — nigdzie, nawet w Paryżu nie widziałem ludzi tak ustawicznie i zbytkownie bawiących się.

— Przebywasz pan ciągle w sferze zamożności i dostatku — rzekłem nieco zawstydzony, usiłując osłabić w cudzoziemcu to niepochlebne dla nas wrażenie.

— Gdzie tam — odparł — poznałem też inne warstwy — wszędzie to samo.

Zamilkłem, bo nie umiem bronić kłamstwa. Rzeczywiście — wszędzie to samo! Jeżeli zaś przy tej sposobności wyrywa mi się smutne westchnienie, nie sądźcie, ażebym ubolewał jedynie nad marnotrawstwem tureckich świętych. Może jeszcze bardziej chodzi mi o to, że my lekkomyślnością swoją wytwarzamy bardzo niebezpieczny argument przeciwko najsłuszniejszym skargom. Widząc nas, Pandora otworzyłaby swą puszkę, ale Amalteja zamknęłaby swój róg obfitości i wytłomaczyłaby wszystkim muzom oraz bogom: po co na ten naród zsypywać jakiekolwiek dary, kiedy on szczęśliwy, bawi się, śmieje, hula, rozrzuca pieniądze, jak gdyby każda jego kuźnia była mennicą? Ja sam nieraz przypuszczam, że może nam jest bardzo dobrze, może my tylko kaprysimy, stękamy z nałogu... Doprawdy, w pewnych zwłaszcza porach, gdybym był, jako świadek, wezwany przed jakiś sąd świata i miał przed nim pod przysięgą zeznać: czy większość nas czuje zadowolenie z warunków swego życia obecnego, nie umiałbym odrzec stanowczo, a w przypuszczeniu raczej przechyliłbym się na stronę odpowiedzi twierdzącej, niż przeczącej. Wyobraźmy sobie teraz, że taki sąd rozstrzyga o naszych losach: jaki wyda wyrok? Pozowić ich w szczęściu... dotychczasowem.

Jak wysoko podnieśliśmy chorągiew karnawału (niemcy ją nazywają sztandarem „księcia głupców"), przekonywa „sprawozdanie *telegraficzne*" *Kuryera warsz.* o balu polskim w Wiedniu. Chyba żaden inny naród nie dawał drutowi telegraficznemu takiego zajęcia. Ale bo czego tam nie było — i jaki wzniosły cel miała zabawa. Same „karnety dla pań, które wprawiają w rozpacz aranżerów innych balów," piękne wachlarze z rysunkiem pochodu huculów przed cesarzem w Kołomyi, wprawiły w zachwyt Europę, reprezentowaną przez dyplomatów i korespondentów, którzy „informowali się o stosunkach (!) szczegółowo." Dosyć powiedzieć, że publiczność wiedeńska, patrząc na te cuda, wykrzykiwała (według telegramu): „na, wirklich, das ist schon das höchste" — co, tłomacząc po warszawsku, znaczy: „no, to już rzeczywiście szczyt." Czego? Publiczność wiedeńska nie dodała, a my pocieszajmy się rozkosznem przekonaniem, że jest coś, w czem nas nikt nie przewyższa.

Ale — jak wzmiankowałem — miała ta doroczna „uroczystość narodowa" i wzniosły cel polityczny, chociaż w karnetach głęboko ukryty. „Jakkolwiek nikt tego nie wypowiedział — telegrafuje *Kuryer* — jednak *zdawało się* wszystkim, że wysokie sfery tutejsze i wiele osób z inteligencyi międzynarodowej szczególną uprzejmością pragnęło okazać sympatyę swoją i współczucie wobec zamachów berlińskich." Zupełnie jak w *Gasparone*, który nam bardzo biesiadnie się podobał. Wesoło nam — zaśpiewajmy sobie walca, smutno — zaśpiewajmy sobie walca, rozbójnik nas napadł — zaśpiewajmy sobie walca — tylko że w naszej operetce, zamiast śpiewać walca, tańczymy mazura. Jakim sposobem nasza polityka nóg umknęła dotąd przed uwagą librecistów operetek — tego nie pojmuję. Może wreszcie, gdy korespondenci *Timesa*, *Standarda*, *Daily News*, *Daily Telegraphe*, *Journal des Debats*, *Temps'a* i inni opiszą bal polski w Wiedniu, znajdzie się jakiś Meilhac... Dla wykazania naszej wyższości winienem tu zaznaczyć, że czesi nie wyprawiają żadnych balów w Wiedniu i skutkiem tego nie utrzymują się na falach „wyższej polityki." Prostacy, cieszą się tem, że każdy ich chłop umie czytać a „święta ziemia" nie wędruje po subhastacyach. Ach, jak ci czesi nędznie tańczą mazura (i walca tylko na trzy *pas*), aż litość bierze! Daremna też ich walka, próżne wysiłki! Ojczyzny z pod ucisku niemieckiego nie dźwigną! Dopóki czas, radzę Riegerowi i Gregrowi, niech przynajmniej oni nauczą się mazura, albo — w ostatecznym razie — walca na dwa *pas*.

Kraków urozmaicił sobie zapusty pyszną uciechą, która przed paru laty i nas rozrywała. Zawitał tam „wódz *pierwszej* polskiej wyprawy do Afryki," p. S. Rogoziński. Jak wiadomo, jest to dziś na całej kuli ziemskiej jedyny człowiek, który pokonał Bismarka, bo wydarł mu kawał ziemi afrykańskiej i oddał anglikom. Rzecz naturalna, że taki bohater, w takich czasach pogromu, w takim mieście, jak Kraków, będący siedzibą „polityki trzeźwej," musiał zbudzić zapał. „Towarzystwo" go rozrywa, *Czas* obok Kolumba stawia, publiczność czcią otacza, a wszyscy na jego czole czytają znaki wielkich przeznaczeń. Bo przecie za „pierwszą polską wyprawą do Afryki" może pójść a nawet pójdzie druga, gdyż p. Rogoziński wyraźnie ją zapowiada i na nią w Krakowie pieniądze zbiera. Dzieckiem będąc (niedawno) marzył on — według własnej spowiedzi — o górach Kameruńskich. „Któż z nas — powiada krakowski *Przegląd literacki i artystyczny* — o czem nie dumał i nie marzył." P. Rogoziński wszakże od innych młodych marzycieli szczęśliwszy, gdyż dawniej Warszawa, a obecnie Kraków pomaga mu do urzeczywistnienia gimnazyalnych rojeń. Protektorowie szanownego podróżnika w Warszawie, wzywając naród do składki na tę wyprawę, która miała „zapisać nasze imię w rocznikach cywilizacyi," błyskali nam nadzieją poznania jezior Liba; sądziłem więc, że to one były przedmiotem owych marzeń. Tymczasem teraz okazuje się, że p. Rogoziński śnił nie o jeziorach, ale o górach, co jest dziś o tyle słuszniejszem, że na jeden ze szczytów Kameruńskich istotnie wszedł a nawet ochrzcił go swem nazwiskiem (podobno z tej wyniosłości roztacza się śliczny widok, wart kilkudziesięciu tysięcy rubli). Co po za tą przyjemną wycieczką i działaniami politycznemi na korzyść Anglii zrobił nasz turysta dla nauki — nie wiem i od nikogo dowiedzieć się nie mogę. Przypuszczam, że odkrycia odłożył do „drugiej polskiej wyprawy" w głąb Afryki. Ażeby zaś te odkrycia szybko znane były naszemu mocno zainteresowanemu w nich umysłowo i materyalnie narodowi, p. Rogoziński założył w Krakowie.. Towarzystwo geograficzne. Według krakowskiego *Przeglądu* — „uznając ważność zadania i ekonomiczne korzyści, jakie się w środkowej Afryce dla ludów cywilizowanych (a więc i dla nas) otwierają" złożono na ten cel „znaczną kwotę." Wielką tę instytucyę *Przegląd* opatruje następującą uwagą: „Kiedy nasze Towarzystwo tatrzańskie do tej chwili nie mogło zdobyć się na wydanie porządnej mapy Tatr i Karpat, kiedy *Słownik geograficzny polski*, nie mogąc otrzymać uznania i poparcia, tylko ofiarności jednego człowieka zawdzięcza dalsze swe wydawnictwo, kiedy źródeł rzek naszych nikt jeszcze dokładnie nie zbadał, kiedy niema po prostu dotąd dobrej geografii naszego kraju — wówczas zakładać Towarzystwo geograficzne dla badania afrykańskich środków i wybrzeży, wydaje mi się tak kolosalnym nonsensem, że jeszcze raz w imieniu zdrowego rozsądku zawołać muszę:

przestańcie dzieci, bo się źle bawicie.“ Mnie się zdaje, że nawet bez tych powodów ma każdy rozsądny człowiek zapytać: czy to sen, czy jawa? Czy rzeczywiście cała ta farsa odgrywa się u nas pod datą 1886 roku w jednej z najcięższych chwil dziejowych? Przechodzi ona bowiem granice najbujniejszej wyobraźni twórców jasełek, graniczy z nieprawdopodobieństwami, które z wesołą muzyką widujemy na scenie, ale których nie spotykamy w życiu. Bierz licho stracone pieniądze, ale czy my już wytrząsnęliśmy z głowy resztki rozumu? Czy nas już tak bieda ogłupiła, że rzucamy się bezmyślnie w każdą przepaść, na każdą skałę, gdzie tylko kark skręcić można? Politykę prowadzimy tańcem, naukowych i materyalnych korzyści szukamy w Afryce — rety! kto zdoła, niech ratuje nasz obłąkany rozsądek?

A jest to ten sam rozsądek, który w pewnych wypadkach bywa taki ostudzony z wszelkiego zapału i wszelkich szlachetniejszych porywów, taki zimny, jak mózg żaby lub węża. Dotykałem go się nieraz, niedawno, a nigdy nie zapomnę tego uczucia, rodzącego dreszcz odrazy. Niedźwiedź biały w lodach morza północnego zachował krew ciepłą; są u nas białe niedźwiedzie, które mają chłodną krew, pływając w ukropie. Żaden waryat nie umie tak chłodno rozumować, jak my czasem umiemy. Merkuryusz, marznąc, przestaje wskazywać stopnie temperatury. Podobnie zachowuje się mózg ludzki. Niech to więc nikogo nie dziwi, że myśl marna bywa myślą zimną. Objawy te doskonale się godzą — i wytwarzają te niskie usposobienia i pożądania, które dają szczęście. A więc: kawał lodu w głowę, kawał w piersi — i dalej w drogę zdobywcy przyszłości, którym z ziemi obiecanej uśmiecha się pełna miska i ciepły kożuch.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Otwarcie teatru w Lublinie. — Jakie stanowisko zająć powinien *Dziennik łódzki.* — Zbałamucona praca. — Bankructwo opinii publicznej. — Serwituty w porozumieniu z wielką własnością. — Biedna Franka.

Kto poznaje prowincyę jedynie w zwierciedle jej prasy, lub też prasy warszawskiej, sądzić może, iż cały Lublin w tygodniu ubiegłym cieszył się i ucztował z powodu otwarcia nowego teatru. „Doniosła uroczystość“ szychowym swym blaskiem tak olśniła pp. sprawozdawców, tak ogłuszyła ich brzękiem dzwoneczków, kantatami i wesołymi okrzykami, że zapomnieli zupełnie o wszystkiem innem i w korespondencyach swych wznieśli się na taką wyżynę artystycznych zachwytów, z której dojrzeć nawet nie można tego mizernego padołu, a cóż dopiero drobnego, chociaż niezbyt oddalonego zbiorowiska tych „soków życia“. Rozumiemy dobrze społeczne znaczenie sceny i przyjemnie nam jest, że Lublin otrzymał „godny przybytek sztuki“; nie pojmujemy jednak tego zacietrzewienia teatralnego, podczas którego tokujące osobniki wpadają w szał jakiś dziwny i zapatrzone w budkę suflera, biust pierwszej kochanki lub majtki tanecznicy, zapominają o warunkach rzeczywistości. *Gazeta Lubelska* okazała się wstrzemięźliwszą od gości warszawskich, którzy nie znają miary w pochwałach i zachwycie. Właściwie, co tak ważnego stało się w Lublinie? Otwarto nowy teatr, porządniejszy od starego. Tyle tylko, t. j. dla rozsądnego człowieka fakt bardzo małej wagi, ale dla pism warszawskich to dosyć, ażeby zapełnić szpalty „własnemi korespondencyami“. Umyślnie wysłani sprawozdawcy zjedli najprzód śniadanie, wydane przez przedsiębiorców budowy br. Fricków, potem kolacyę, zdaje się, na koszt p. Puchniewskiego, bezpłatny poczęstunek wprawił ich w dobry humor, resztki zastanowienia i pamięci utopili w „objawach szczeropolskiej gościnności“ i wyrzucili całą masę frazesów, jakie im pobudzona dobrem piwem do obfitego płynięcia ślina przyniosła na łaknące i obrotne języki.

Czytelnik nie posądzi nas chyba o niechęć dla przedsiębiorstwa teatralnego w Lublinie, ani też dla energicznej działalności akcyonaryuszów.

Ale nie należy z drobnego tego wypadku robić wielkiej sprawy, nie należy radośnemi owacyami policzkować tych, którzy cieszyć się nie mogą.

Nie rozumiemy także podnoszenia obywatelskich zasług akcyonaryuszów i przedsiębiorców budowy. Niewielka to byłaby zasługa, gdyby ludzie zamożni złożyli po 500 rs. na teatr, w którym przyjemnie czas spędzać będą, niewielka tem bardziej, że od udziałów swoich pobierać będą procent, który przy praktycznem urządzeniu gmachu dojść może nawet do bardzo przyzwoitej cyfry. Przedsiębiorcy znowu wykonali roboty sumiennie, ale czyż uczciwość przestała już być u nas obowiązkiem i istnieje tylko jako cnota obywatelska? Nie mówimy o złośliwych pogłoskach, twierdzących, że pomysł zbudowania teatru powstał w głowach właścicieli cegielni, którzy nie znajdowali dla wyrobu swego odbytu. Gdyby bowiem nawet tak było, jeżeli tylko dostarczali materyał w dobrym gatunku i po odpowiednich cenach — krzywdy nikomu nie zrobili, budując zaś teatr, połączyli przyjemne z pożytecznem. Wprawdzie *Gazeta Radomska* utrzymuje, że „dobrobyt jednostek jest interesem i moralnym obowiązkiem ogółu“, ale to już specyalna socyologia radomska, ogół zaś sądzi jeszcze, że między prostem przedsiębiorstwem i zasługą obywatelską leży szeroki pole zwyczajnych obowiązków indywidualnych i społecznych. Gdzie Krym, gdzie Rzym a gdzie karczmy babińskie! Z Lublina przecie do karczem tych niedaleko, trzeba było wstąpić po drodze i przypomnieć sobie mądre przysłowie.

Oglądając znowu Łódź w zwierciadle rocznego spisu artykułów, pomieszczonych w „spokojnym“ *Dzienniku*, który za epitet ten niby gniewa się na nas, niby kontent jest z niego, doszliśmy do przekonania, że w tym Manchesterze polskim rodacy nasi stanowić muszą klasę uprzywilejowaną. Nie można zaprzeczyć, że *Dziennik łódzki* jest pismem bardzo ruchliwem, że w miarę możności traktuje obszernie sprawy ekonomiczne, zwłaszcza z dziedziny przemysłu i handlu, ale nie uwzględnia dostatecznie społecznej strony stosunków, zajmując się wyłącznie prawie oceną gospodarczego, że tak powiem, znaczenia. Potulny *Sarmaticus* broni „spokojnego“ stanowiska *Dziennika* i wyrzuca nam, że namawiamy go do czczych demonstracyj za pomocą frazesów. Nie o frazesy tu idzie, ale o zrozumienie zadania pisma, wychodzącego w Łodzi. *Dziennik* łudzi się mrzonkami, jeżeli wierzy w asymilacyę zamożnej ludności niemieckiej. Polacy stanowią w Łodzi przeważną część ludności pracującej, warstwa uprzywilejowana składa się wyłącznie prawie z niemców. Podział ten wskazuje wyraźnie stanowisko, jakie miejscowy dziennik polski zająć powinien, określa kierunek jego zasad i dążeń. Tego zadania *Dziennik łódzki* dotychczas nie zrozumiał, przy każdej więc sposobności będziemy mu je przypominali, chociaż oddajemy sprawiedliwość gorliwym staraniom redakcyi o podniesienie pisma.

Artykuły ekonomiczne *Dziennika* mógłby z korzyścią przedrukowywać *Korespondent płocki*, który bez ceremonii bierze żywcem wiadomość z *Gazety lubelskiej*, zamiast Lublin podstawia Płock i bez innej zmiany zamieszcza w swych szpaltach jako własne sprawozdanie. Przedruk cudzych prac uwolniłby czytelników od nowego wylewu bredni ekonomicznych niejakiego p. Z. Już to Płock ma szczęście do samorodnych ekonomistów i socyologów. Pomijamy bajania p. Z. o gospodarstwie intensywnem i ekstensywnem, zwracamy tylko uwagę na *lucida intervalla* jego umysłu, w których wykazuje on spory zapas trzezwych, chociaż nie sympatycznych poglądów. Reformator płocki biada nad drożyzną *pracy*, którą trzeba koniecznie uczynić tańszą „przez lepsze jej wyzyskanie.“ Udoskonalony sposób eksploatacyi polegać ma na „ściślejszym rygorze, zastosowaniu pracy akordowej i solidarnem a konsekwentnem postępowaniu pracodawców.“ Dla należytego poskromienia zbałamuconej pracy „zaleca się również powrót do zapłaty w naturaliach. Robotnik wiejski powinien odbierać najznaczniejszą część wynagrodzenia w naturze.“ Dlaczego — autor nie objaśnia — ale domyśleć się łatwo. Pokrzywdzony dzisiejszem przesileniem pracodawca, pozbędzie się w ten sposób znacznej części ziemiopłodów po cenach dowolnie oznaczonych, zbałamucony zaś pracownik w chwilach odpoczynku przyjemnie bawić się będzie poszukiwaniem... nabywcy zboża, którego nikt kupować nie chce.

Obecne przesilenie ekonomiczne okazać się może bardzo korzystnem w skutkach, jeżeli wyrobi i oczyści samowiedzę moralną społeczeństwa. W dzisiejszych czasach zastoju i upadku materyalnego wypełzają ze szczelin wszystkich ukryte w nich potworne gady, wznoszą się w górę zatrute wyziewy bagnisk. Drapieżna chciwość, bezczelne oszustwo, wszystkie niskie popędy i samolubne zachcianki nie kryją się już w cieniu zasad, nie maskują popularnemi godłami, ale coraz otwarciej i jawniej występują w czynach i słowie. Plugastwo to tylko w razie niebezpieczeństwa chowa się pod płaszczyk szczyty z trzech szmat, wyobrażających wiarę ojców, tradycyę i rodzinne zasady, zwyczajnie zaś pełza swobodnie przy świetle dnia. Należałoby zaprowadzić osobną rubrykę dla notowania tych objawów zgnilizny, które pokazują się nietylko w mnożących się nikczemnych postępkach ludzi z warstw inteligentnych, ale i w jawnem, cynicznem wygłaszaniu zdań, usprawiedliwiających występne samolubstwo.

„Trafnie charakteryzuje to rozprzężenie moralne kronikarz *Tygodnia* piotrkowskiego. „Dalibóg nie rozumiem już, co wypada a co nie wypada. Jedno tylko przypuszczam: że wśród ogólnego bankructwa i opinia publiczna u nas zbankrutowała i tylko patrzeć, jak ogłoszą jej upadłość i przez publiczną licytacyę sprzedawać będą róż i bielidło starej zalotnicy. W ostatnich czasach zdziecinniała baba okrutnie i zajmuje się tylko miłosnemi intrygami, usiłując, co najwyżej, zatruć życie jakiej nieszczęśliwej kobiecie, za to, że jej się kiedyś, kiedyś może noga pośliznęła.“

Rzeczywiście, stoimy mocno tylko jeszcze na punkcie cnoty niewieściej, której pozwalamy nietylko pośliznąć się, ale nawet upaść w buduarze, byle nie dawała publicznego zgorszenia. Czasem „dla przyjemności wielkich łotrów wieszamy małych“ i resztkami dogorywającej uczciwości oburzamy się na zbrodnie i występki żydów. Ponieważ nie chcę iść tą drogą kłamną, nie będę oburzał się ani na owego księdza w Radomiu, który wziął 5 rubli za pogrzeb żony biedaka, obdarzonego 6-rublowem, jednorazowem wsparciem miejscowego towarzystwa dobroczynności, ani o dowcipnych umowach cukrowni w Zakrzówku, ani o innych licznych przykładach drobnego wyzysku lub pospolitego zdzierstwa. Natomiast zaznaczyć muszę pomysłowy sposób likwidacyi majątku, którego przykłady dali dwaj ziemianie z gubernii kieleckiej i płockiej, nie dlatego, żeby szwindel ów był czemś nadzwyczaj-

nem, ale że sprawa ta posiada doniosłość ogólną.

Pan X. (nazwiska nam nie podano, nie możemy go więc uwiecznić) posiadał majątek obdłużony ponad wartość. Subhastacya wisiała na włosku, ale dowcipny ziemianin znalazł sposób wybrnięcia z kłopotów. Umawia się on tajemnie z włościanami o sprzedaż połowy majątku, naznacza cenę przystępną i oddaje tę połowę jako dobrowolne wynagrodzenie za serwituty. Rozumie się, komisarz włościański z obowiązku urzędu swego zatwierdza wzajemny układ, właściciel majątku odbiera pieniądze złożone u wójta i pokazuje figę wierzycielom. Sprzedaż pozostałej reszty dóbr nie pokrywa bowiem nawet należności Towarzystwa kredytowego, które pomimo oględnego udzielania pożyczek poniesie dość znaczną stratę. Jeżeli nie przez wzgląd na wierzycieli — to dla bezpieczeństwa poważnej instytucyi kredytowej należałoby pomyśleć o zapobieżeniu tego rodzaju wypadkom. Pisma nasze, które każą Towarzystwu kredytowemu to budować szpital dla obłąkanych, to robić poszukiwania geologiczne i t. d., powinny przypomnieć mu teraz o konieczności położenia tamy takim nadużyciom, domaga się bowiem tego interes wszystkich stowarzyszonych.

W Radomiu urządzono wieczór dla młodzieży rzemieślniczej. Zabawa, w której przyjęło udział kilku przedstawicieli inteligencyi miejscowej, odbyła się bardzo przyzwoicie. Inicyatorowie pragną urządzić kilka takich wieczorków, w których przyjmie może wreszcze udział „porządne“ towarzystwo, dotychczas przypatrujące się uciesze hołoty z galeryi. Kto wie, czy w ten sposób Radom nie utworzy resursy rzemieślniczej, zanim Warszawa na seryo o niej pomyśli.

Na zakończenie daję wesoły obrazek obyczajowy. Włościanin z okolicy Przytyka miał syna w wojsku, którego nie widział od lat pięciu. Pewnego dnia zjawia się jakiś przystojny jegomość, który oznajmia, że jest właśnie owym niecierpliwie oczekiwanym Jankiem. Rodzice zrazu nie poznają w nim syna, ale przybysz dowodzi wymownie, że jest ich własnem dzieckiem. Młoda żołnierka cieszy się z korzystnej zmiany w powierzchowności męża. Oszust spędza cztery dni w domu rodziców, wreszcie wyłudza od nich 4 ruble, od żony 10 i znika. Wtedy dopiero przekonano się o samozwańtswie. „Kto powróci biednej France jej łzy?“, woła patetycznie kronikarz *Gazety Radomskiej*. Sądzimy, że biedna Franka mogłaby mieć pretensyę do zwrotu czegoś więcej, aniżeli łez, ale przypominam sobie, że według utartych zasad naszej etyki, tylko panny mogą gubić, jakby to delikatnie powiedzieć..... świeżość uczuć.

J. Nieborski.

PRASA ROSYJSKA.

Warszawskij Dniewnik pisze:

„W drugiej połowie r. z. zarządzone dochodzenie wykryło, że w Lublinie istnieje bardzo systematycznie urządzona przez jezuitów galicyjskich, tajna organizacya propagandy między byłymi unitami, którzy połączyli się napowrót z prawosławiem. Głównem zadaniem tej propagandy było naturalne zwrócenie byłych unitów do katolicyzmu, a za najbliższe środki w tym celu służyło zaspakajanie ich potrzeb duchownych według obrządku katolickiego i udzielanie im sakramentów chrztu św. i małżeństwa przez księży, a w niektórych razach nawet przez osoby, które według przepisów kościelnych nie mają do tego prawa. Przytem osoby, którym udzielano sakramentów, otrzymywały metryki na przygotowanych blankietach z próżnem miejscem na wpisywanie nazwisk, ale podpisanych już naprzód przez jezuitów krakowskich, a nawet opatrzonych marką stemplową austryacką. Dochodzenie stwierdziło, że w udzielaniu sakramentów między innymi brali udział trzej zakonnicy z klasztoru dominikanów w Lublinie. Oczywiście, takie prawem zabronione i przeciwne rozporządzeniom rządu mieszanie się osób prywatnych, jakoteż przedstawicieli kościoła rzymsko-katolickiego w sprawy religii prawosławnej, nie mogło ujść surowej kary. Rozkazano wysłać wspomnianych zakonników pod dozór policyjny do północnych gubernij Cesarstwa. Na nieszczęście, rozporządzenie to doszło do wiadomości mieszkańców miasta i wieczorem dnia 19-go stycznia *v. s.*, kiedy zamierzono wyprawić zakonników koleją żelazną, gromada ludu, złożona z kilkuset osób, niewątpliwie podburzona przez propagandzistów, zebrała się przed klasztorem i chciała przeszkodzić policyi w wywiezieniu zakonników na stacyę kolei, tamując jej w wąskich ulicach drogę i rzucając na strażników i konie odłamami lodu i śniegiem, przyczem taki odłam trafił w oko jednego z wywożonych zakonników. Takiej swawoli, naturalnie, niemożna było dopuścić. Władze miejscowe natychmiast postanowiły wezwać komendy wojskowej, przy pomocy której usunięto bezzwłocznie tłum z uliczek przyległych do klasztoru i zakonników bez przeszkody dostawiono na stacyę, a stąd koleją żelazną odesłano na miejsce przeznaczenia. Przytem wojsko, przyjęte zrazu również pociskami śniegu i lodu, dało kilka wystrzałów w powietrze. Rzucanemi z tłumu grudami zmarzłego śniegu skaleczono kilku strażników i żołnierzy. Za udział w tych nieporządkach oraz stawianie oporu policyi i wojsku, aresztowano około 56 osób i z rozporządzenia prokuratora przystąpiono natychmiast co do zaszłych wypadków do przedwstępnego śledztwa, które może zdoła wykryć agitatorów.“

PROCES POLITYCZNY

(według *Prawitiel. Wiestnika*).

II.

Szlachcic Piotr Bardowskij (lat 38), zajmując posadę sędziego pokoju m. Warszawy, oddał swoje mieszkanie na miejsce zbrodniczych schadzek i na skład rewolucyjnego mienia stronnictwa, tudzież ukrywał u siebie jego działaczów. Podczas rewizyi, dokonanej w mieszkaniu Bardowskiego, zaskoczono ukrywającego się przed pogonią policyi i poszukiwanego Kunickiego. Oprócz znacznej liczby odezw rewolucyjnych, broszur i czasopism prasy tajnej, przynależytości drukarskich, adresów, pieczęci kółek tajnych, oraz pieczęci instytucyj rządowych i gminnych, u Bardowskiego znaleziono: tajną korespondencyę zbrodniczego stowarzyszenia, rękopisy, programy komitetu centralnego, oraz poufną umowę ze stronnictwem „Narodnej Woli,“ a także własnoręcznie przez niego napisane wezwanie do wojskowych, krańcowo podżegającej treści.

Zajmując się rozpowszechnianiem wydawnictw rewolucyjnych i propagandą w pośród wojskowych, Bardowskij zeszedł się z kapitanem inżynieryi, Mikołajem Lurim (lat 27), który zgłosił się do niego w imieniu jednego z działaczy zbrodniczego stowarzyszenia, przywłaszczającego sobie nazwę stronnictwa „Narodnej Woli,“ dymisyonowanego sztabs-kapitana Konstantego Stepurina i na udowodnienie swej osobistości wręczył Bardowskiemu kilka numerów wydawnictwa *Narodnej Woli*. Zawiązawszy przez Bardowskiego stosunki z kilku rewolucyonistami, Luri w grudniu 1883 r. zaopatrzył Kunickiego w pieniądze na wyjazd za granicę w sumie 400 rubli, a potem w różnym czasie wypłacił członkom „Proletaryatu“ na potrzeby rewolucyjne 790 r., z których 450 r. przesłał zbiegłemu i dotąd nieodszukanemu Aleksandrowi Dębskiemu.

Mieszczanie Jan Pietrusiński (lat 21) i Michał Ossowski (lat 22), uznani winnymi tego, że niezależnie od udziału w tajnych kółkach rewolucyjnych, dokonali z zamiarem zawczasu obmyślanym, w celach stowarzyszenia, pierwszy zabójstwa robotnika Helszera, drugi zabójstwa konduktora Skrzypczyńskiego. Pietrusiński przy pomocy innej osoby, zwiódłszy Helszera i wyprowadziwszy go w miejsce ustronne, wystrzałem z rewolweru z tyłu w głowę pozbawił go życia w m. Zgierzu. Ossowski w Warszawie, wszedłszy wieczorem do wagonu tramwajowego w którym nikogo prócz konduktora Skrzypczyńskiego nie było, podszedł do niego pod pozorem zapalenia papierosa i sztyletem zadał mu cios śmiertelny w brzuch, a uchodząc zostawił na ławce w wagonie uwiadomienie „komitetu centralnego“ o spełnieniu wyroku na Skrzypczyńskim.

Mieszczanin Józef Szmaus (lat 30), brał czynny udział w przewożeniu zbrodniczych wydawnictw z zagranicy, w rozpowszechnianiu teoryj rewolucyjnych w pośród robotników i w zamachu na życie robotnika Syremskiego.

Wymienionych sześciu obwinionych skazał wojenny sąd okręgowy warszawski w dniu 8 (20) grudnia r. z. na pozbawienie wszystkich praw stanu i na karę śmierci.

Co do innych pod sąd oddanych w tejże sprawie, okazuje się, że szlachta: Ludwik Waryński (lat 29), Edmund Płoski (lat 24), Henryk Dulęba (lat 37), Ludwik Janowicz (lat 26) i Tadeusz Rechniewski (lat 22), mieszczanie: Antoni Popławski (lat 24) i Piotr Dąbrowski (lat 24), oraz poddany austryacki Mieczysław Mańkowski (lat 23), byli założycielami stowarzyszenia „Proletaryatu“ i bezpośrednio uczestniczyli w propagandzie pośród robotników. Niezależnie od tego, Waryński przy pomocy Płoskiego i Dulęby założył drukarnię tajną, ułożył wspólnie z Kunickim program działań stowarzyszenia, przywiózł z zagranicy zabronione wydawnictwa i będąc już w więzieniu, pisał do współwyznawców o konieczności zabicia Skrzypczyńskiego. Rechniewski, w charakterze członka „komitetu centralnego,“ zbierał uczestników z pośród uczącej się młodzieży, a Janowicz, stawiając przy ujęciu zbrojny opór, wystrzelił z rewolweru do oficera policyjnego i ciężko zranił agenta policyi.

Wyżej wzmiankowanych 8-miu obwinionych skazano na pozbawienie wszystkich praw stanu i zesłanie do ciężkich robót na lat 16.

Na taką samą karę skazano jedenastu poniżej wymienionych winowajców, co do których wykryto: włościanin Kazimierz Tomaszewski (lat 26) namówił innego do zamordowania za pieniądze robotnika Syremskiego; mieszczanin Teofil Bloch (lat 42) zaprowadził Franciszka Helszera w odludne miejsce, gdzie też go zabił Pietrusiński; szlachcic Adam Sieroszewski (lat 22) wręczył zabójcom Skrzypczyńskiego wyrok komitetu centralnego, skazujący Skrzypczyńskiego na śmierć; brał udział w przygotowaniach do wysadzenia w powietrze kancelaryi prokuratora izby sądowej w Warszawie i asystował w tym celu przy próbowaniu materyałów wybuchowych; mieszczanie: Hilary Gostkiewicz (lat 23), Adam Słowik (lat 27) i włościanin Józef Kmiecik (lat 34) brali udział w przygotowaniach do zamordowania Skrzypczyńskiego i wzatarciu śladów zabójstwa, przyczem Kmiecik ofiarował swoje usługi do zabójstwa osób urzędowych; mieszczanin Jan Helszer (lat 23), włościanin Leon Degorski (lat 54), kierując propagandą w mieście Zgierzu, zwołali tam zebranie, na którem postanowiono zabić brata pierwszego z nich Franciszka Helszera; mieszczanin Adolf Formiński (lat 40) wypłacał pensye członkom stowarzyszenia i wynagrodzenia zabójcom, oraz uczestniczył wespół z innymi w jednogłośnej uchwale co do zamordowania prowadzącego dochodzenie śledcze sztabs-oficera żandarmeryi i asystującego czynnościom jego podprokuratora; szlachcic Stanisław Hładysz (lat 23), niezależnie od współudziału w uchwaleniu postanowienia co do zamordowania już wymienionych przedstawicieli rządu, zobowiązał się dopomagać samemu wykonaniu tych mordów, oraz znajdował się w mieszkaniu powyżej wspomnianego Sieroszewskiego przy próbach materyj wybuchowych; mieszczanin Stanisław Pacanowski (lat 22), wykonywając poruczenie „komitetu centralnego,“ jeździł w celu propagandy między robotnikami do różnych miast, oraz brał udział w schadzkach, na których uchwalono zabić Syremskiego i Helszera.

Następnie oskarżeni: mieszczanin Feliks Cohn (lat 21), który był agentem „komitetu centralnego“ i zecerem w drukarni tajnej, oraz włościanin Stanisław Bugajski (lat 22), który namówiony przez Tomaszewskiego, godząc na życie robotnika Syremskiego, zranił go sztyletem — skazani zostali na pozbawienie wszystkich praw stanu i zesłanie do ciężkich robót: pierwszy na lat 10 i 8 miesięcy, a ostatni na lat 9.

Wreszcie podporucznicy: Andrzej Igelström (lat 24) i Zacharyasz Sokolskij (lat 25), oskarżeni są o to, iż będąc w czynnej służbie wojskowej, za pośrednictwem Lurego, Bardowskiego i innych, nietylko otrzymywali wydawnictwa rewolucyjne do czytania, lecz składali za to opłatę, zbieraną na zwiększenie środków stowarzyszenia tajnego, oraz przyczyniali się do ukrywania pewnych agitatorów rewolucyjnych. Wyrokiem sądu, Igelström i Sokolskij skazani są na pozbawienie wszystkich praw stanu i zesłanie do odległejszych miejsc Syberyi.

Przy zatwierdzeniu wyroku wojennego sądu okręgowego warszawskiego uznano za możliwe niżej wyliczonym winowajcom złagodzić oznaczone przez sąd kary, skazując po pozbawieniu wszystkich praw stanu, do ciężkich robót: Tomaszewskiego na lat 15, Rechniewskiego i Sieroszewskiego na lat 14. Popławskiego, Płoskiego, Dulębę, Helszera i Gostkiewicza na lat 13, Formińskiego i Kmiecika na lat 12, Słowika, Degórskiego i Hładysza na lat 10, Cohna na lat 8, oraz Bugajskiego na lat 6 i miesięcy 8. Dla obwinionego Pacanowskiego uznano za możliwe zamienić ciężkie roboty na zesłanie na osiedlenie do bardziej oddalonych miejsc Syberyi, a obwinionych Sokolskiego i Igelströma, po pozbawieniu wszystkich szczególnych, osobistych i przysługujących z urodzenia praw i przywilejów, zesłać na osiedlenie w Syberyi, według 1go stopnia § 31 go Kodeksu Karnego.

Najjaśniejszy Pan Najmiłościwiej rozkazać raczył: kapitanowi Mikołajowi Luremu i włościaninowi Józefowi Szmausowi darować życie, zamieniając naznaczoną dla nich karę śmierci na pozbawienie wszystkich praw stanu i zesłanie do ciężkich robót na lat 20.

Warszawski Dniewnik donosi: W dniu 16 (28) stycznia o godzinie 7 minut 40 zrana, w cytadeli warszawskiej wykonany został wyrok śmierci warszawskiego okręgowego sądu wojennego na czterech osobach obwinionych o przestępstwo polityczne: Stanisławie Kunickim, Piotrze Bardowskim, Michale Ossowskim i Janie Pietrusińskim.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Podatek na cudzoziemców wkrótce ma być nałożony w rozmiarze 50 rs. rocznie od osoby posiadacze zakładów przemysłowych płacić mają oprócz tego 25% czystego dochodu.

Komisya do sprawy żydowskiej w Petersburgu otrzymała już opinie władz i organów samorządu, wszystkie prawie głosy oświadczają się za dozwoleniem izraelitom pobytu w całem państwie.

Zapis. Zmarły J. Hoch, właściciel fabryki świec stearynowych, przeznaczył w testamencie 3,000 rs. dla szkoły rzemieślniczej przy ulicy Jasnej.

Proces polityczny. Trybunał rzeszy niemieckiej w Lipsku sądzi sprawę b. kapitana Sarauw'a i Rottgera, oskarżonych o zdradę stanu, mianowicie zaś o wydawanie rządowi francuskiemu tajemnic wojennych niemieckich.

Odczyty na dochód Kasy Mianowskiego i wydawnictwa *Pamiętnika fizyograficznego* odbędą się w poście. Pierwszy odczyt wygłosi p. Dziewulski „O źródłach elektryczności,“ następnie pp. Boguski „O związku pomiędzy pracą chemiczną a elektryczną,“ Milicer „O galwanoplastyce,“ Dziewulski „O świetle elektrycznem,“ S. Kramsztyk „O elektro-magnetyzmie i jego zastosowaniu,“ Dziewulski „O maszynach dynamo-elektrycznych,“ dr. Jędrzejewicz „O elektryczności powietrza,“ dr. Dobrzycki „Elektryczność zwierzęca i zastosowanie elekt. yczności w medycynie,“ wreszcie p. Kozłowski „O historyi przemysłu górniczego w Polsce.“

Odpowiedź. Bezimienny p. „Rosyanin,“ który z powodu anegdotki o kupcach syberyjskich i malarzu Scotti'm, zarzuca *Prawdzie* i społeczeństwu polskiemu nieznajomość życia i literatury rosyjskiej, powinien dowiedzieć się dokładniej o tem, o czem pisze. Scotti żył nie przed stoma laty, ale bardzo niedawno. Maksym Bielinskij i Jasinskij nie są dwoma utalentowanymi młodymi pisarzami, ale jedną osobą, gdyż nazwisko Maksym Bielinskij jest pseudonymem p. Jasińskiego. O tem szan. krytykowi należało wiedzieć.

Kradzież. Monsignor Silvestrelli, generał zakonu pasyonistów (są i tacy) okradł zgromadzenie, którego był naczelnikiem, na milion lirów. Złodzieja sądzić będą nie zwyczajne sądy, ale kongregacya św. koncylium.

Spisek, W Monaco odkryto spisek, którego uczestnicy chcieli za pomocą dynamitu zburzyć dom gry w Monte-Carlo.

Przeniesienie. Fabryka stali na Nowej Pradze przenosi się do Cesarstwa nad Don. Niektórym robotnikom zaproponowano wyjazd do nowej siedziby fabryki.

Igrzyska olimpijskie zamierza wznowić rząd grecki. Uroczystość nastąpi w 1887 r. i następnie powtarzać się będzie, jak niegdyś, co cztery lata.

Jubileusz. Uniwersytet charkowski obchodził 35-tą rocznicę pracy naukowej prof. Leona Cienkowskiego. Gazety warszawskie cieszą się z tryumfu ziomka, który rzeczywiście jest znakomitym uczonym, tylko że... nie pisze wcale po polsku.

Prasa rosyjska. Wydawnictwo gazety *Zaria* zostało wstrzymane do czasu powrotu z zagranicy redaktora p. Andrejewskiego, ponieważ zarząd prasy nie zatwierdził zastępcy.

Zmarli. Oskar Sosnowski, znany rzeźbiarz polski w Rzymie.

— Iwan Aksakow, redaktor *Rusi*, głośny publicysta rosyjski, wybitny przedstawiciel partyi słowianofilów.

— Unruh, prezydent zgromadzenia narodowego w Berlinie w 1848 r.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

X. X. Po polsku Baina i Spencera. A w czyjejże głowie wylągł się koncept, że „*Prawda* korzysta wiele z *Gegenwart*,“ z którego nigdy nie korzystała? Nr. 26 przesłaliśmy.

Z. B. w Kwoczy. 1) nie, 2) tak, ale z gubernij zachodnich trzeba mieć pozwolenie od władzy; 3) minimum 15 rs. miesięcznie.

P. Zofii Ar. w Kutnie. Poprzedniego listu nie otrzymaliśmy.

Uważnemu czyteln. Ach, Panie, podobne niedbalstwo jest tak powszednim chlebem, że nie warto go podnosić publicznie.

X. Y. Z. Forma staranna, ale obraz sztuczny. Orzeł nad morzem, wieczorem, widzialny przez poetę z ziemi — co słowo, to nieprawdopodobieństwo.

Ig. Kl. w Siedlcach. Jeszcze nieotwarty. Czy świadectwo 6 klas wystarcza — nie wiemy; o pieniądzach na podróż nie słyszeliśmy.

P. Wit. K. Broniewski, o którym wzmiankowąno w n rze 8 *Prawdy* był kasyerem w Kiszyniewie.

Dr. Str. w Kurszanach. Sprostowań błędów cudzych nie pomieszczamy. Jeśli Pan życzy sobie, możemy list Wasz przesłać redakcyi tego pisma, w którem artykuł był drukowany.

P. Wilhelmowi F. Wiersz pański nie dla nas.

Czytelnikowi z Rygi. Wydział filozoficzny w uniwersytetach niemieckich nie jest, jak w Rosyi, filologicznym. Dla otrzymania prawa do jakiegokolwiek egzaminu, trzeba posiadać świadectwa gimnazyalne.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Января 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.